MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 18 WARSZAWA, 15 SIERPNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

TANDETNA IDEOLOGJA

W OSTATNIM zeszycie miesięcznika „Droga" p. Piotr Dunin - Borkowski ogłosił artykuł p. t. „Jeszcze o ideale w Polsce", będący próbą formułowania podstaw ideologicznych „obozu pomajowego". Z dwóch powodów artykuł ten zasługuje na rozpatrzenie bardziej szczegółowe. Przedewszystkiem pojawił się on nie w goniącym za sensacją, ani przystosowanym do potrzeb agitacyjnych dzienniku, ale w miesięczniku dla elity, który ma być—jak objaśnia napis na okładce — „Organem Pracy Umysłowej Dla Budowania Nowej Polski Dla Rozwiązania Zagadnień Państwowych Narodowych i Społecznych". Powtóre autor artykułu w ostatnich dniach powołany został na odpowiedzialne stanowisko wojewody lwowskiego, jest przeto niewątpliwie człowiekiem, cieszącym się daleko posuniętem zaufaniem sfer dziś w Polsce rządzących. W tym wypadku zaufanie to musiało być nawet szczególnie głębokie, skoro przemogło wzgląd na brak kwalifikacyj fachowych, stanowisko bowiem wojewody jest jednocześnie debiutem p. Dunina - Borkowskiego w dziedzinie administracji państwowej. Jeżeli więc ten właśnie wysoki dygnitarz państwowy w tym miesięczniku ogłasza rozprawę programową, to tem samem wprowadza swego czytelnika na szczyty myśli ideologicznej „obozu pomajowego", pozwala poznać myśli tej najwyższy poziom i gatunek. Jakież horyzonty roztaczają się tedy z tych szczytów?

Punktem wyjścia dla rozważań p. Dunina - Borkowskiego jest „nacjonalizm", który on określa w sposób następujący:

> „Przez nacjonalizm rozumiem prąd, który przeszedł mniej więcej całą Europę, a polegał z jednej strony na nienawiści do mówiących innym językiem i należących do rasy innej, zaś ze strony pozytywnej na obronie ludzi mówiących tym samym językiem i stanowiących rzekomo jedną „rasę"".

Definicja ta, co do której p. Dunin - Borkowski nie zaniedbał zastrzec sobie prawa autorstwa, jest istotnie jedyną chyba definicją nacjonalizmu, w którem zupełnie pominięte zostało pojęcie... narodu. Pod tym względem nowy wojewoda lwowski jest myślicielem przynajmniej równie oryginalnym, jak niezwykłym byłby n.p. astronom, objaśniający prawa układu słonecznego nie wspominając o słońcu. Ale to, co zawarte jest w treści definicji, jest jeszcze osobliwsze, niż to nawet, co zostało w niej pominięte. Wystarczy jeden przykład: „polegał... na nienawiści do mówiących innym językiem". Jeśli to odpowiadałoby rzeczywistości, nacjonalista polski musiałby pałać nienawiścią do wszystkich pozostałych ludów świata, choćby nawet sprzymierzonych z nami Francuzów, Belgów, Rumunów. Musiałby on nienawidzieć wszystkich, bez powodu, nie oszczędzając ani bliskich krwią i mową Łużyczan, ani dalekich, w puszczach afrykańskich ukrywających się murzynów. Pieniłby się na myśl o Urugwajczykach. Najobojętniejsza rozmowa z cudzoziemcem, każda wycieczka zagranicę stawałaby się dla niego jedną nieopisaną torturą. I p. Dunin-Borkowski na serjo przypuszcza, że ten typ psychiki jest nietylko wogóle możliwy, ale nawet tak był doniedawna rozpowszechniony, że stworzyć potrafił „prąd, który przeszedł mniej więcej całą Europę"!

W Polsce — twierdzi p. Dunin-Borkowski — ten „nacjonalizm" rozgromiony został wskutek wypadków majowych. Dziś „nad społeczeństwem żaden konkretny i skończony ideał nie panuje", potrzeba więc wynalezienia ideału nowego, a ten „niezaprzeczenie" wyłonić się może tylko z tęsknot i przemyśleń „ludzi pomajowych". Zarys tej nowej ideologji p. Dunin-Borkowski usiłuje kreślić przez porównanie z pewnemi prądami politycznemi zagranicą:

> „Jeżeli rewolucja majowa znajduje w czasie teraźniejszym jakieś poważniejsze analogje, to raczej w Gandhyźmie indyjskim, aniżeli w Bolszewji lub faszyźmie".

Nawet czytelnik przygotowany na niespodzianki poprzednią definicją nacjonalizmu, może osłupieć ze

zdumienia. Czemże jest Gandhyzm? Sam p. Dunin-Borkowski objaśnia dalej, iż jest to „przedewszystkiem możliwość powiedziałbym Holzapflowska wielorakich bardzo ideałów, uzgodnionych tylko jedną pryncypalną zasadą „bezgwałtu"". Istotnie też — według wskazań politycznych Gandhiego — „zasada nie stosowania gwałtu" winna pozostać naczelnem hasłem ruchu narodowego indyjskiego, świadectwem jego moralnej wyższości. W przeciwnym razie ruch ten doprowadzićby musiał do „krwawej rewolucji, jakiej nigdy jeszcze nie widziano na świecie. Nie miałbym najmniejszego zamiaru — oświadcza wyraźnie Gandhi — odgrywania jakiejkolwiek roli w tej rewolucji, ani nie chcę przyczyniać się do jej wywołania".*) Czy w tej właśnie zasadzie „nie stosowania gwałtu" widzi p. Dunin-Borkowski „poważną analogję" w zestawieniu z „rewolucją majową"? Trudno przypuścić, aby dopatrywał się jakichś podobieństw w propagowanym przez Gandhiego religijnym kulcie krowy...

P. Dunin-Borkowski najwidoczniej zdaje sobie jednak sprawę, że powołanie się na Gandhyzm nie wystarcza, że ideał, jeśli ma być naprawdę pociągający, musi być określony dokładniej. Oto próba tej dokładniejszej definicji:

> „Natomiast program wyrażony w artykule „Drogi" pod tytułem „Wiara nasza a myty jej" charakteryzuje znamienicie, to co w Polsce mogłoby się stać ideałem „Polska jako zbiorowy obowiązek" wszystkich Polaków, jako coś, co w całej pełni „niema jeszcze władzy na ziemi i jeszcze dąży ku rzeczywistości", jako „przyszły porządek społeczny". Jest to nowy rodzaj nacjonalizmu..., który już dalej będę nazywał neo-nacjonalizmem".

Jeżeli kto i to jeszcze uważałby za nieco mgliste i nieokreślone, to wiele więcej wytłumaczyć mu może zamieszczone w dalszym ciągu rozważanie o znaczeniu w państwie

> „...naczelnej postaci zaopatrzonej w oczach ludu w „charyzmat". Tego rodzaju postacie pojawiają się w krajach o tendencjach neonacjonalistycznych, w obecnej chwili wszędzie, dość wymienić Lenina, Mussoliniego, Gandhiego, Piłsudskiego".

A więc Rosja sowiecka jest, jak widać, krajem o „tendencjach neonacjonalistycznych"! Rzeczywiście, „dość wymienić Lenina", aby zdać sobie sprawę, jak różnorodną treść może posiadać zalecana przez nowego wojewodę lwowskiego ideologja „neonacjonalizmu".

Bardzo interesujący wreszcie jest stosunek p. Dunina-Borkowskiego do zagadnień religijnych. „Walka z katolicyzmem jest"—jak zaznacza dosłownie—„zupełnie bezcelowa", chociaż zgadza się na wytoczony przeciw katolicyzmowi „akt oskarżenia o tysiącletnie systematyczne niszczenie sił ludzkich przez odwieczną niechęć do uwzględnienia duchowych różnic i osobliwości." Stąd program na przyszłość:

> „Należy ożywić i pogłębić zainteresowania religijne za pomocą kreowania na uniwersytetach katedr porównawczych dla historji religji w zupełnej swobodzie naukowej funkcjonujących".

Może co z tego wyniknie...

Oczywiście, rozpatrzywszy tak artykuł p. Dunina-Borkowskiego możnaby powtórzyć raz jeszcze, że „obóz pomajowy" nie posiada własnej określonej ideologji, że brak mu wyraźnego programu. Ale tutaj chodzi o niedomaganie znacznie głębsze. Gdyby istotnie p. Dunin-Borkowski szczerze i rzetelnie dążył do sformułowania podstaw ideowych swego obozu, to ten trud jego, choćby nawet małemi uwieńczony sukcesami, zasługiwałby w każdym razie na szacunek. Ale takie definicje „nacjonalizmu", ten efektownie brzmiący „Gandhyzm", „neonacjonalizm" — to tylko tandeta, chęć popisania się, że istnieje jakaś rzeczywista praca ideowa, której niema, której nikt, w gruncie rzeczy, nie traktuje poważnie. Dlatego właśnie te wycieczki w krainę ideologji tak komiczne wywołują wrażenie. Poprzez gęstwę zagadnień życia polskiego myśliciele „pomajowi" zapowiadają wyrąbanie nowej drogi, ale siekiery ich—to drewniane toporki teatralne, oklejone dla niepoznaki błyszczącym papierem.

JAN REMBIELIŃSKI

*) Gandhi *„La jeune Inde"* Paris 1925.

WÓDZ

(„CZŁOWIEK, KTÓRY POSZUKUJE")

Żeby zostać, zwłaszcza za życia, „wielkim człowiekiem", zrobić to, co u nas nazywają „bajeczną karjerą", trzeba sprzyjającego losu, pomyślnego zbiegu okoliczności, słowem powodzenia; ale też ono psuje często osiągniętą przez jednostkę „wielkość", w parodję nieraz zamienia najcudowniejsze karjery. Staje się to wówczas, gdy jednostka ludzka prędko zużywa swoje osobliwe wartości wewnętrzne, swoją „cnotę", która ją wyniosła nad poziomy, i wspiera się na samem powodzeniu, nie dopomagając mu siłamy własnego ducha.

Momenty powodzenia decydowały nieraz o niezwykłej „karjerze" Mussoliniego, o którym prześliczną książkę, świeżo wydaną po polsku, napisała współpracowniczka jego z *„Popolo d'Italia"*, pani Małgorzata Sarfatti[1]), — z książki tej jednak można się przekonać nasampierw, że zanim los zaczął mu sprzyjać, musiał go on, wówczas gdy mu groził unicestwieniem, często przezwyciężać wytrwałą mocą swego ducha, a następnie że, po największych powodzeniach „cnotę" swoją nieustannie wzmagał, jakby miał wszystko jeszcze do osiągnięcia w życiu.

W ciągu kilku lat podpisywał Mussolini artykuły swoje charakterystycznym pseudonimem: „Człowiek, który poszukuje".

W tej formule wyraża się potrzeba jego ducha, niepohamowanego w dążeniu do co raz wyższych, co raz pełniejszych postaci bytu—własnego, czy też zbiorowego.

Jak nie jeden samouk, mógł Mussolini, olśniony tą lub inną, panującą w jego czasach, doktryną umysłową — filozofją życia, czy też ideologią społeczną— skrzepnąć w fanatycznem jej wyznawaniu, aż do szczytnego absurdu, co często się staje udziałem ludzi,

[1]) Małgorzata Sarfatti „Dux" z 33 ilustracjami. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 339.

jak on, silnej woli oraz wiary. Jeśli tego uniknął, zawdzięcza to temu właśnie, że był owym „człowiekiem, który poszukuje"; że przeczuwał i widział wyobraźnią szerszy widnokręg, niż ten, jakim był objęty, że niezadowolenie z osiągniętej prawdy i pragnienie zupełniejszej, pchało go wciąż naprzód i wyzwalało z jarzma dokrynerskiego.

Tego przywiązania, do osiągniętych własnym trudem zdobyczy umysłowych, jakiem odznaczają się samoucy, nie odnajdziemy w charakterze duchowym Mussoliniego. Nie odnajdziemy w nim gnuśnej pychy intelektualistów, rozkoszujących się dostatkiem swej skarbnicy umysłowej, nie mówiąc już o tych, co rządząc się zasadą: „lepsze jest wrogiem dobrego" — nie chcą posiąść więcej nad to, co zdobyli sami, albo znaleźli w stanie gotowym, ale też nie chcą niczego się wyrzekać, niczego składać w ofierze, choćby jaknajmocniej upominało się o to życie samo.

Mussolini, przeciwnie, zdobywał wciąż dużo, zdobywał bez wytchnienia, nietylko dla samej rozkoszy zdobywania, lecz i po to, by móc składać hojne ofiary życiu, gdy ono domaga się tego.

To także sposób wzbogacania siebie samego, swego ducha! Okazuje się bowiem, na co niejednokrotnie zwraca także uwagę biografka Mussoliniego, że on jest prawdziwie tą uprzywilejowaną istotą, której życie przynosi w darze olbrzymie korzyści duchowe, gdyż od pierwszej chwili jest ona przygotowana na przyjęcie tego daru.

Z tych korzyści duchowych, jakiemi obdarzyło go życie, wzamian za słuszny do niego stosunek, wyróżnić można w jego charakterze umysłowym i moralnym przedewszystkiem: szczerość wobec siebie samego i wobec świata, odrazę do fałszu, do złudzeń i pozorów, poczucie głębokie wielkości życia samego, oraz tragizmu przeznaczeń jednostki ludzkiej.

Nieubłagane oblicze życia odsłania się mu od najwcześniejszych lat, stawiając go wciąż wobec pytania: być albo nie być? — i zmuszając do stanowczej, natychmiastowej, bez wykrętów i zastrzeżeń sofistycznych, odpowiedzi na nie.

Kto, jak on, w młodości żywił się co wieczór, przeważnie „sałatą polną", w dwudziestym roku był chłopcem murarskim, albo pchał przed sobą po ulicach miast, gdzie go los rzucał, wózek z flaszkami wina — a jednocześnie słuchał wykładów rozmaitych znakomitości uniwersyteckich, wcielał gwałtownie w obieg namiętnego umysłu idee myślicieli współczesnych i wznosząc się duchowo, tembardziej odczuwał i rozumiał potworne kontrasty własnych losów — temu nie trzeba było uświadamiać groźnej powagi bytu, nie trzeba było przekonywać o tem, że z życiem niema żartów.

Z odmianą losu, kiedy już poznał nawet drogi triumfu, nie zmienia swego pojęcia o życiu, a skarżącym się na ciężar istnienia wykłada swoistą filozofję stoicyzmu: „życie przepełnione jest obowiązkami do spełnienia i bólami do przezwyciężenia — poucza raz swoich kolegów redakcyjnych. Spełniajcie pierwsze i przezwyciężajcie drugie, bez łkań i gadanin zbytecznych".

Posępny pogląd, ponura dusza! Tak nawet sądzą Mussoliniego niektórzy, jak n. p. ci Amerykanie co go nazwali: „posępnym synem kowala". (Wiktor Hugo, jak sobie przypominam, nazywał Napoleona „posępnym atletą zapasów wojennych").

Jest to sąd najbardziej zewnętrzny, wynik przelotnego wrażenia, skrystalizowany w fejletonowym aforyzmie.

Mroków i posępności nie znajdziemy w duszy Mussoliniego, przeciwnie: — jest ona wypełniona światłem niezachodzącego słońca wewnętrznego, widzi on bowiem przed sobą mnóstwo rozmaitych możliwości bytu, czynu, wiele dróg, na których istota jego może stwierdzać swoją wartość, swoją niewyczerpaną żywotność i zużywać bogate zasoby sił duchowych.

Czuje się on wewnątrz siebie swobodnym, nie wprawiają go w zbytnie zakłopotanie piętrzące się przeszkody i przeciwności, nie hamują ruchu porażki. Po okresie ciężkich i wspaniałych walk, które jeszcze nie zapowiadały zwycięstwa, może on takim np. oddawać się projektom, w chwilach przelotnego zniecierpliwienia:

„Zanadto długo już — powiadał — jestem dziennikarzem. A znam tyle innych rzemiosł. Przedewszystkiem mogę być murarzem. Teraz uczę się pilotowania. Albo też mogę pokręcić się po świecie, grając na skrzypcach: wspaniałe rzemiosło błędnego grajka. Zresztą otrzymałem doskonałe propozycje od wydawcy Bocca na wydanie książki „Mit i Herezja". Rozmawiałem z Tollim, zostanę aktorem i autorem. Mój dramat w trzech aktach „Lampa bez światła" jest już gotowy, muszę go tylko napisać... etc, etc".

Jakże można tu mówić o posępności duszy, którą unosi taki młodzieńczy poryw zamierzeń i pragnień, żądza przygód, beztroska pewność i wiara w przyszłość własną. Żywi ją głęboko „człowiek, który poszukuje", duch jego nie rdzewieje w bezwładzie i zastoju; starość nie ma nad nim władzy, a tylko starość ducha może stwarzać jego posępność.

Ale ten „syn kowala", co życie pojmuje jak tragedję klasyczną i żywi dla niego kult religijny, spełnia święte jego obrzędy z dostojną powagą i namaszczeniem, żarliwie i patetycznie.

Jeśli potyka się z losem, jeśli walczy z przeznaczeniem, to nie są to podjazdowe harce, fortele i zdradzieckie ciosy, lecz walka w otwartem polu, oko w oko, walka na serjo, do końca, do ostatecznego wyniku.

Rewolucja faszystowska, zrodzona z jego idei, dokonana z jego woli i pod jego przewodem, była walką na serjo, „zrobiona" była poważnie, miała swoją duszę, wyraźną ideę, jasno określony cel, nie mówiąc już o obmyślanym planie, — nie tak jak się robią te „maleńkie, łatwe i miłe rzeczy — jak się wyraża — które noszą miano rewolucji i co bankrutują nazajutrz po zwycięstwie".

Mussolini, wódz rewolucji, zwycięstwa swego nie zmarnował na fatałaszki, na indywidualne gwałciki; — zdobytej możności płodnego twórczego czynu nie zużył w działaniach bezplanowych i chaotycznych zarządzeniach, w pustem gadulstwie i bzdurnych pomysłach.

Jednorazowym, koniecznym gwałtem, którego był wyznawcą i pozostaje nim dotychczas, gdy zmiótł z widowni państwowej to, co było do zmiecenia, gdy usunął przeszkody, zagradzające drogę do czynu na rzecz potęgi .państwa i przyszłości narodu, który tylko co uchronił od katastrofy, nie tracąc ani chwili czasu rozpoczął ogromną pracę w myśl przewodniego hasła zwycięskiej rewolucji, które oddawna formułował w ten sposób: „Wszystko to, co może uczynić wielkim naród włoski znajdzie we mnie zwolennika i nadwrót, wszystko to, co obniża, co upadla, co krzywdzi naród włoski, znajdzie we mnie przeciwnika".

Pięć lat niestrudzenie, poświęcając wszystkie siły, swoje i innych, nie przybierając póz zagadkowych i nie kryjąc światła pod korcem, organizuje pracę dla powyższych celów, przewodniczy jej i polepsza,

w miarę posuwania się naprzód. „Człowiek, który poszukuje", — poszukując, wypróbowuje siebie, swoje pomysły, swoją twórczość, a jeśli była błędną, ma możność przekonania się o tem, w ten sposób więc doskonali siebie i pracę swoją.

„Chcąc — a chcę — mawiał Mussolini — mógłbym pociągnąć całe Włochy, tak, jak ciągnie się łódź z morza na suche miejsce".

Zechciał — i tak się stało: Włochy zostały wyciągnięte z otchłani! czują dzisiaj mocny grunt pod sobą.

Czy się tem pyszni główny sprawca tego faktu? Czy uważa, że zrobił już wszystko, co do niego należało, czy się wynosi ponad innych, swoich porzedników — budowniczych państwa i twórców materjalnej i moralnej wielkości narodu włoskiego? Jaknajmniej! bo jest wciąż, jak był przed powodzeniem, „człowiekiem, który poszukuje", który doskonali się sam, aby doskonalić to, z czem związał życie własne i za co wziął całkowitą odpwiedzialność. Kiedy wobec Mussoliniego rozmawiano o tytule księcia Rodosu, dla upamiętnienia przyłączenia tej wyspy, powiedział: „Nicem dotychczas nie zrobił, aby zasłużyć na nagrodę. Obecnie pragnę jedynie pracować". Albo jeszcze lepiej, gdy mu przypominają jego zasługi wobec Ojczyzny: „A cóż takiego zrobiłem zresztą dotychczas? Nic. Jestem obecnie skromnym dziennikarzem i ministrem, jak wielu innych. Trzeba nauczyć porządku ten naród. Dopiero wówczas spełnię me zadanie. Dopiero wówczas będę się czuł—kimś".

Utalentowana biografka Mussoliniego, która przez szereg lat zbliska mu się przyglądała, utrzymuje, że jednym z rysów jego osobistości moralnej jest ambicja, co go podtrzymuje i pożera. Niewątpliwie — tak jest! jakżeby mógł istnieć i działać, tak jak żyje i działa, ten człowiek wielkich zamiarów i śmiałych przedsięwzięć, gdyby go nie podtrzymywała ogromna ambicja, ta, co wypełnia jednostkę żądzą wyrycia swego znaku na epoce?

Gatunek ambicji określa cel, do jakiego dąży jednostka przez nią „pożerana".

Człowiek, który wyznaje, że „można przenieść się z namiotu do pałacu, lecz pod warunkiem, że będziemy gotowi, o ile zajdzie tego potrzeba, powrócić z pałacu do namiotu", nie jest zdolny żywić ambicji poziomej, mającej na względzie własną osobę i jej zachcianki.

„Przeniósłszy się" wskutek własnej zasługi „z namiotu do pałacu", Mussolini nie myśli o tem, by w nim pozostawać dla osobistej przyjemności, dla używania życia oraz nasycenia żądzy panowania nad duszami ludzkiemi.

Osiągnąwszy władzę nad niemi, poczuł się ich przewodnikiem duchowym, odpowiedzialnym za ich byt materjalny i moralny, przewodnikiem, który ma strzec naród własny w jego dziejowym pochodzie od krętych i niepewnych dróg, od wrogich zasadzek losu, a także od jego własnych błędów i słabości, narażających go na wykolejenia rozmaite i zależność od innych.

Poczuł się on wodzem swego narodu i uznał siebie takim w swojem najpoufniejszem jestestwie, nietylko dlatego, że okrzyknęły go zwycięskie hufce „czarnych koszul", że ulegają one jego urokowi i są, gotowe na każde jego skinienie,—lecz dlatego naprzód, że naród swój uchronił od katastrofy niebywałej, a następnie, że się przekonał, iż w tych warunkach, w jakich zastał Italję po wielkiej wojnie, można ją dźwigać dalej z upadku, zwiększać jej szczęśliwość i zabezpieczyć przyszłość tylko temi metodami działania jakie doświadczenie wieków wypróbowało, i temi ideami, co są w zgodzie z jej potrzebami oraz tradycjami cywilizycyjnemi.

Na tych metodach i na tych tradycjach zatrzymała się myśl Mussoliniego, po odbyciu długoletniej, męczącej ewolucji w jego duchu, częstokroć targanym uprzednio wątpliwościami — w jego sumieniu.

Gdy to się stało, poczuł się powołanym do kierowania losami wielkiego narodu, został jego wodzem.

Na sztandarze Mussoliniego—wodza widnieje lapidarny napis:

„*Pro italico imperio, virtute, disciplina, hierarchia, unguibus et rostris*"[1])

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

---

[1]) Książka M. Sarfatti kreśli dokładny obraz ewolucji duchowej Mussoliniego, podaje mnóstwo szczegółów z jego życia wewnętrznego, pozwalających zajrzeć głębiej w tę duszę niezwykłą

SZLACHECKIE POJĘCIE WŁADZY

ZROZUMIENIE, jaką treść wiąże dana grupa ludzi ze słowem „władza", stanowi jedną z lepszych dróg trafnej oceny postępowania tej grupy lub jej członków. Potrzeba takiego zrozumienia konieczna jest w szczególności w odniesieniu do dawnej rzeczypospolitej szlacheckiej. Często bowiem mierzymy swoiste jej zachowanie się miarą naszych pojęć o władzy i na tej postawie trudno nam istotne podłoże i charakter badanych przejawów woli zbiorowej trafnie określić. Zrekonstruowanie tej zawartości, którą szlachcic mianem „władza" określał, pozwoli ujrzeć podstawę pewnej kategorji jego postępowania, tej mianowicie, która wśród swych motywów posiada wyobrażenie władzy.

Pojęcie to skrystalizowało się — jak niemal wszystkie pojęcia prawno-państwowe — już w XVI wieku, a prądy kulturalne i struktura społeczna wycisnęły na niem wyraźne piętno.

Środowisko kulturalne, w którem się pojęcie owo wytwarzało, przenikały dwa silne prądy: humanizm i reformacja. Przeorały one glebę szlachecką wzdłuż i wszerz głęboko. Nie tylko posłowie pozowali na rzymskich trybunów, szerokie rzesze szlacheckie z zapałem wierzyły, iż Rzplita Polska jest jako dawna rzymska wybudowana — i światu za wzór podania, czerpały, choć z drugiej ręki, z mądrości Cycerona czy Seneki. I te same masy szlacheckie przeżywały radośnie i głęboko odrodzenie religijne, szukały prawdy i głosu Bożego w trudzie, ale z zapałem.

Oba te prądy kulturalne, zgoła odmienne i często wrogie, wychodząc z różnych przesłanek, dochodziły do dość zbliżonego pojęcia władzy. Humanizm i reformacja akcentowały bardzo silnie jej podłoże i rolę etyczną, jakkolwiek humanizm czynił to na sposób stoicki i bardziej świecki, reformacja wysuwała na czoło zagadnienia religijne. Oba te prądy w krańcowych konsekwencjach dochodziły czasami do zaprzeczenia wszelkiej władzy, zwykle zaś uwydatniając elementy etyczne, zacierały jej charakter prawno-państwowy.

W tej atmosferze wyrasta szlacheckie pojęcie władzy. Od popularnych w Polsce pism obcych począwszy, (Lorichius. Isocrates) a na własnych, takich jak Modrzewskiego, Skargi, Warszewickiego lub Paprockiego skończywszy, przewija się wszedzie mniemanie, że jedynie wartości etyczne władcy stanowią o do-

brem funkcjonowaniu urzędu, a nie jego organizacyjna struktura, — iż jedynie te wartości są kwalifikacją, a jedynem zadaniem wpajanie podobnych u poddanych. Stąd niezliczone próby kreślenia wizerunków idealnych królów, idealnych senatorów, idealnych posłów i t. d. Wszędzie jaknajwięcej rad i wskazówek treści moralnej, jaknajmniej projektów i pomysłów prawno-organizacyjnych. Nie tylko wszakże literatura polityczna i posłowie w swych przemówieniach rozwijają etyczną koncepcję władzy, czynił to i kierownik nawy państwowej, Zygmunt August. Nawołując na sejmie 1569 do zawarcia unji, argumentuje w ten sposób: „Jakoż i ta sprawa jest wedle sumienia dobrego; oglądałem się też dobrze na to, abym waszmościów nie wiódł do tego, coby sumieniom WM. szkodzić miało, bo ile się baczyć mogę, iż każdy człowiek najwięcej ma mieć na baczności, aby nic przeciwko sumieniu nie czynił, a nie na ziemskie, ale na owo wieczne błogosławieństwo pilniej się oglądał (ty słowa byli z płaczem królewskim i innych ludzi). Ja to widzę, iż ta chwalebna sprawa nie jest przeciwko sumieniu memu i wąszmościów, gdyż idzie o społeczną miłość i wieczne braterstwo i owszem sam Pan Bóg przemieszkiwa, gdzie miłość jest, a gdzie nie masz, tam nie mieszka. A jako to, widzę, i że to jest z dobrem sumieniem mojem i waszmościów, tak z dobrem rozumieniem pożytecznym obojgu państwu, a tej jednej Rzpltej, niechajby kto nie rozumiał abych WM. miał namawiać, abyście co mieli uczynić przeciw sumieniu, albo przeciw niemu wieść. Ani jest mi Rzplita tak ważna, ani żadna rzecz na świecie, aby ją miał więcej przekładać nad sumienie moje". W mowie tej król dał bardzo jasny wyraz panującym zapatrywaniom na istotę i rolę władzy. Przeniknięcie tego pojęcia elementami etyki pociągało za sobą jako skutek swoiste ustosunkowanie się do władcy: stawał się on nie prawnie i przymusowo ustanowionym zwierzchnikiem, ale jakby opiekunem doświadczonym, ojcem, dbającym o dobro materjalne i moralne swych dzieci. Dlatego, to powtarzają królowie, iż są jeno opiekunami narodu, strażnikami cnót i dobra. W tym duchu wizerunki królów dobrych kreślą i humaniści i ludzie tacy, jak Skarga.

Środowisku kulturalnemu zawdzięcza tedy pojęcie władzy dwie wyraźne, a ściśle z sobą związane cechy: charakter etyczny i charakter prywatny. Władza jest czemś, co moc swoją i uzasadnienie czerpie z sumienia, z etyki i najbardziej o nią dba. Jest również jakby prywatnym, ojcowskim dozorem, a nie siłą narzuconą i sprawującą rządy. Król idealny, pojęty jest jako strażnik sumienia i jako najlepszy ojciec i opiekun. Takie elementy pojęcia władzy, wyciskają oczywiście swe piętno i na pojmowanie życia społecznego wogóle.

Po omówieniu roli jaką w konstruowaniu pojęcia władzy odegrało środowisko kulturalne, zająć się należy udziałem środowiska socjalnego. Ono nadało temu pojęciu bardzo silne elementy tradycjonalne.

Ustrój polski dzięki swej stanowej i rodowej konstrukcji, dzięki kolegjalności i braku egzekutywy stanowił wogóle podłoże sprzyjające tradycjonalizmowi. Im bardziej szlachta przyzwyczajała się do posiadanych wolności, im powszechniej utożsamiała je z Rzplitą wprost, tem wyraźniej władza miała służyć ich obronie i zachowaniu, a jej istota wówczas tem silniej musiała się opierać na dawności.

Przepisy prawne były w opinji szlacheckiej prawomocne tylko wtedy, gdy można było wykazać, iż nie są czemś nowem, ale że mają rodowód prastary. Rzesze szlacheckie poszukują legitymacji tradycjonalnej nawet i dla poczynań faktycznie nowych: ruch egzekucyjny, konfederacja, rokosz i t. d. Książe Zbaraski na sejmie 1627 dobitnie i jasno formułuje pogląd szlachecki: „prawo jest to zwyczaj pradawny. Szlachta tego jeno gotowa słuchać, co za przodków bywało": za złe, nieprawne, szkodliwe, nieobowiązujące uważa wszelkie nowości i zmiany.

Na takich tradycjonalnych podstawach wyrasta również i stosunek do władcy, do króla. Król — to nie głowa państwa, — to stróż praw i wolności, szafarz sprawiedliwości. Zadaniem jego, które mu szlachta na sejmach przypomina jest przedewszystkiem „tak rozkazować, aby wolności wcale zachowane były, które nam WKM. tak chować raczysz, jako od przodków WKM. chowane były". Wzamian za opiekę nad wolnościami darzy szlachta króla zaufaniem, wdzięcznością i posłuszeństwem. Król „ludziom rycerskim wolnym a swobodnym panuje, którym nie jak WKM. rozkazować masz, jedno tak jakoby się żadne rozkazywanie WKM. wolnościom naszym a prawom koronnym nie sprzeciwiło... chceszli WKM. tę miłość i to posłuszeństwo po nas mieć, jakie przodkowie WKM. mieli".

Wobec króla pojętego jako opiekuna, stróża wolności zachowuje się tedy szlachta odmiennie, niż wobec monarchy. Wdzięczność, zaufanie są tu dominującą postawą duchową, z nich dopiero — a nie z samej istoty rządzenia — płynie posłuszeństwo. Wolno je królowi wypowiedzieć, gdy jest złym stróżem i wykonawcą praw. Podobnie jak wyżej stwierdzaliśmy, iż z elementów etycznych pojęcia władzy wypływał jej charakter prywatny i jakby rodzinny, tak i tu, ze względu na to, iż posłuszeństwo nie wypływa z istoty władzy, lecz wynika z subjektywnych ocen sprawnego jej funkcjonowania, ów prywatny charakter uwydatnia się wyraźnie i jasno.

W atmosferze takiego pojmowania władzy, sprzeciwy woli władcy i rokosze są zjawiskiem zrozumiałem i normalnem. Podobnie i entuzjazm tłumów szlacheckich widzących w Zebrzydowskim lub Lubomirskim obrońcę ojczyzny i praw, a nie ich burzyciela.

Na treść pojęcia władzy składają się tedy głównie dwa elementy: etyczny i tradycjonalny. Jakże jednak godzą się one razem? W jaki sposób teza, iż uzasadnieniem władzy jest wyższość etyczna, a rolą władcy, opieka moralna, godzi się i wiąże z mniemaniem, iż jedyną wystarczającą legitymację władzy i władcy jest rodowód prastary, a zadaniem zachowywanie i utrwalanie dawności? Czyż między charismą (posługujemy się terminem Webera, używanym przez niego na oznaczenie władzy, opartej o etykę lub religję) — a tradycjonalizmem nie zachodzi konflikt? — Często zachodzi, równie często jednak koncepcja druga wypływa z pierwszej, tak n. p. kościół wierzy, iż podstawy wiary i życia religijnego dał Bóg w Ewangelji (charisma) — i dlatego należy sięgać do przeszłości i jej miarą oceniać i mierzyć problemy nowe, wobec niej jedynie ulegać (tradycjonalizm). Szlachta polska mówiła dość często o tem, iż Królestwo Polskie za Wolą Bożą wybudowane jest i święte znakiem Krzyża — i że dlatego nie wolno od pradawnego porządku odstąpić, wierzyła często „iż duch niebieski, nie duch świata tego, elekcję tę w nas sprawował, serca i oczy ludzkie obwionąwszy",—trwała dlatego przy takiej formie rządu.

Takie jednak wiązanie elementów charismatycznych z tradycjonalnemi, iż się pierwsze umieszczało w dawności, a w drugich widziało kontynuację, zachowanie pierwszych — możliwe było tam tylko, gdzie ma miejsce istotnie głęboka i żywa wiara w czynną ingerencje Boga w dziejach Polski. Wówczas to ustanowiony w dawności przez Niego porządek, musi być strzeżony i odmieniać go nie wolno.

Przeciętnie wszakże owo powiązanie tych dwóch elementów nie było tak głębokie. W szczególności element etyczny pod wpływem czynników egoistycznych tracił swą siłę na rzecz tradycjonalnego. Im bardziej bowiem szlachta przywiązana była do istniejącego porządku, im silniejszym motywem tego przywiązania były względy egoizmu stanowego lub osobistego, tem wyraźniej uzasadnienie etyczne i rola praw i władcy, jak je dawał Modrzewski lub Skarga, zanikało i stawało się zbędne, a nawet szkodliwe, bo nakazujące poprawianie rzeczywistości; zyskiwał natomiast na sile element drugi: tak ma być, jak dawniej bywało. Ponieważ jednak szlachta o cnocie, jej wielkości — nie przestała mówić i w czasach największego upadku, przeto tę retoryczną już tylko fikcję elementu etycznego władzy wiązała z tradycjonalnym na podstawie mniemania, iż przodkowie byli lepsi pod każdym względem, przeto trwanie przy tem co oni stworzyli, jest zarazem obroną tego, co jest dobrem; w ten sposób tradycjonalne uzasadnienie władzy staje się jednocześnie i etycznem uzasadnieniem. Tak dzięki wierze, iż przodkowie byli moralni i uczciwi, tradycjonalna koncepcja pojęcia władzy zwycięża i obejmuje sobą koncepcję etyczną. I teraz łatwo zrozumieć, dlaczego nie zgadza się szlachta na żadne reformy krzywdzących praw, choć o etyce i cnocie mówi tak wiele? Oto dlatego, iż jedyne kryterjum cnoty i życia cnotliwego — to przodkowie; odstępstwo od ich ustaw, to nie tylko pogrzebanie tradycjonalizmu, o który opiera się Rzplta, ale i odstępstwo od cnoty prawdziwej.

Szlacheckie pojęcie władzy miało tedy elementy charismatyczne i tradycjonalne; pierwsze szczególnie wyraziste w dobie humanizmu i reformacji; z czasem słabły pierwsze, wzrastały drugie, aż zwyciężyły; prawomocnem jest tylko to, co znane było dawności; ale to jednocześnie i zarazem jest dobrem i cnotliwem. W ogólności miało pojęcie władzy zawsze charakter jakby prywatny, rodzinny, posłuszeństwo opierało się na uznawaniu, wdzięczności i t. d. Elementów państwowości i siły ponad-jednostkowych konieczności i norm nie posiadało. W związku z tem stoi pojęcie państwa, jako Rzeczypospolitej swobód i wolności szlacheckiego stanu.

BOHDAN SUCHODOLSKI

O ZBLIŻENIE NAUKI DO ŻYCIA

KTOKOLWIEK uważnie śledzi naszą produkcję naukową ostatniej doby i zwróci uwagę na rodzaj oraz charakter pojawiających się rozpraw w różnych dziedzinach wiedzy, musi dojść do przekonania, że przepaść między nauką a życiem staje się coraz bardziej widoczna.

Przedewszystkiem uderza przewaga zainteresowania zagadnieniami bardzo szczegółowemi oraz posługiwanie się metodą analityczną. Zwolennicy tego typu prac powołują się zwykle na to, że roztrząsania analityczne tworzą konieczną podbudowę dla przyszłej syntezy. Zapominają jednak o tem, że tylko drogą współdziałania analizy i syntezy, drogą rozpatrywania całości w świetle szczegółów, a szczegółu w świetle całości, dojść można do pozytywnych wyników, do zrozumienia związków, zachodzących w świecie zarówno wewnętrznym, jak zewnętrznym.*)

Nauka dzisiejsza może się szczycić posiadaniem wielu książek, podręczników, bibljotek, instytutów i seminarjów, nie potrafi jednak zaprzeczyć, że wielkie zagadnienia przestały dla niej istnieć. Najważniejsze postulaty duchowe są bezceremonjalnie ignorowane przez naukę. Pomimo zadziwiających powodzeń w dziedzinie techniki, nie może nauka dać odpowiedzi na zasadnicze, odwieczne pytanie o metafizycznej doniosłości życia. Zresztą i powodzenia współczesnej techniki pełne są wewnętrznych sprzeczności. Przerost urządzeń technicznych powoduje, że konsumcja nie idzie proporcjonalnie do produkcji, co jest jedną z przyczyn dzisiejszego kryzysu ekonomicznego.

Nauka — jak się zazwyczaj mówi — wprowadza ład i porządek do zagmatwanego chaosu naszych wrażeń i spostrzeżeń. Rozum wykonywa świadomie i stopniowo to samo zadanie wobec naszych spostrzeżeń przeszłych i przyszłych — i to w ten sam sposób, w jaki porządkuje nieświadomie i bezpośrednio nasze spostrzeżenia obecne. Jego praca naukowa jest tylko dalszym ciągiem i dokończeniem pracy spontanicznej. [2]) Formalną stroną nauki jest jej metoda, to znaczy logiczne, planowe, systematyczne poszukiwanie prawdy. Nauka o metodach, czyli metodologja jest tą częścią logiki, która bada metody nauk szczegółowych ze względu na ich wartość logiczną, prawdziwość i celowość.

Wskutek różniczkowania się i specjalizacji powstają ciągle nowe gałęzie nauki. Stąd żadna klasyfikacja nauk nie jest zadowalająca i ostateczna. Na początku ery nowożytnej klasyfikował nauki Bacon Franciszek podług trzech władz duchowych: pamięci, fantazji i rozumu. („*historia*, *poësis*, *philosophia secundum tres intellectus facultates: memoria*, *phantasia*, *ratio*“). Nauka jest „*veritatis imago*“. Jako cel nauki wymienia Bacon opanowanie natury. („*Tantum possumus, quantum scimus*“). Podział nauk Bacona przetrwał w ogólnych zarysach do czasów encyklopedystów francuskich.

Kant nazywa nauką właściwą tylko taką naukę, której twierdzenia są apodyktyczne. Ampère dzieli nauki na kosmologiczne, badające świat i noologiczne, badające ducha i jego przejawy. Celowy charakter badania naukowego podkreśla silnie A. Comte, według którego zadaniem nauki jest „*savoir pour prévoir*“. O hierarchji nauk decyduje stopień jej abstrakcyjności oraz konkretności. Nauki abstrakcyjne mają do czynienia z prawami ogólnemi, konkretne ze szczegółowemi własnościami rzeczy. Comte wylicza sześć nauk fundamentalnych: matematykę, astronomję, fizykę, chemję, biologję i socjologję. H. Spencer rozróżnia nauki abstrakcyjne (logika i matematyka), abstrakcyjno-konkretne (mechanika, fizyka, chemja) i konkretne (astronomja, geologja, biologja i t. d.). Podług Külpego, Euckena i pragmatystów nauka jest wspólnem dziełem rozumu, uczucia i przeżyć jednostki. Mach nazywa naukę ekonomicznie uporządkowanem doświadczeniem w formułach ogólnych.

Ostatnio wiele rozgłosu nabrała klasyfikacja nauk Rickerta. Wyszedł on z założenia, że nauka nie

[1]). Zasługą autorów głośnego przed rokiem 13 N-ru „Przewodnika Bibliograficznego“ jest to, że odważyli się pod pozorem żartu otworzyć oczy ogółu na zwyrodnienie popędu do wiedzy, przejawiające się w tak dziś licznych pseudonaukowych, jałowych, bezpłodnych rozprawach, rozprawkach, szkicach i przyczynkach, których wartość rzeczywista, (pomimo martwej erudycji i uczonego werbalizmu), równa jest korzyści z „młócenia słomy“.

[2]). Zob. Lalande: „*Lectures sur la philosophie des sciences*“ Paris 1924, str. 382.

może zajmować się tylko badaniem zjawisk ogólnych, lecz musi także uwzględniać indywidualne, jeśli pragnie dać prawdziwy obraz świata, a nie uproszczony, zracjonalizowany, a więc fałszywy. Indywidualnem nazywa Rickert to, co występaje li tylko raz jeden w pewnem określonem miejscu i czasie, różni się od każdego innego bytu duchowego lub cielesnego i nigdy się nie powtarza. Jeśli nauki przyrodnicze posługują się metodą generalizującą, to znaczy interesują się zjawiskami ogólnemi, to przeciwnie nauki historyczne posługują się metodą indywidualizującą, t. zn. że dla nich mają znaczenie zjawiska indywidualne. Lecz nie mogą one uwzględniać wszystkich faktów indywidualnych. Muszą opierać się na zasadzie wyboru faktów, czyli na t. zw. metodzie stosunku do wartości przez ogoł zą takie uznanych. Wartości te stanowią dorobek kultury. Stąd dzieli Rickert nauki na: nauki o kulturze i nauki o przyrodzie, do których zalicza także ogólne nauki o duchu. Ustanowienie systemu wartości należy do filozofji, względnie do filozofji historji.

Zaznajomienie się z różnemi poglądami na istotę i podział nauki prowadzi nas do wniosku, że zarówno jednostki, jak i rządy otaczały rozwój nauki szczególną opieką głównie dlatego, że przyczyniają się one do ulepszania warunków życiowych. Twierdzenie Bacona, „*tantum possumus, quantum scimus*" utrzymało się na przestrzeni wieków po dzień dzisiejszy w całej swej mocy.

*

Zwolennicy zapatrywania, że racja istnienia nauki nie opiera się na jej praktycznej zastosowalności, przytaczają szereg argumentów na jego poparcie, które tutaj kolejno rozpatrzymy.

Przedewszystkiem powołują się na wrodzoną człowiekowi żądzę bezinteresownej wiedzy. W głębi natury ludzkiej — powiadają — tkwi potrzeba poznania praw natury, a wyraża się ona w uczuciu zdziwienia, jakiego doznajemy zawsze wtedy, gdy jakieś zjawisko zdaje się przeczyć znanemu nam dobrze prawu przyrody.

Otóż należy stwierdzić, że tak rozpowszechniony w epoce racjonalizmu pogląd, iż fakty istnieją po to, aby były przez nas poznane, nie da się już dzisiaj utrzymać. Powaga, jaką racjonaliści otaczali metodę dedukcyjną, jest dzisiaj zachwiana. Jesteśmy bardziej powściągliwi nawet w uogólnianiu w dziedzinie fizycznej niż dawniej: „Wśród teoryj, hypotez i praw niema nic bezwzględnego. Każdemu prawu, które sformułuje fizyka, rzeczywistość prędzej czy później, brutalnie przeciwstawi inne. Racjonalizm niema najmniejszego powodu uważać tego twierdzenia za sceptycyzm. Jest ono tylko wyrazem nowego położenia nauki, na które racjonalizm gwałtem zamyka oczy". [3]). Dzisiejsza fizyka nie uznaje apodyktycznych twierdzeń. Z wyjątkiem matematyki wszystkie nauki są dziś tylko „właściwie tak zw. wiedzą". Jeśli weźmiemy — dajmy na to — historję, to nie podaje nam ona właściwie tego, „co się rzeczywiście działo", lecz tylko nasze o tem wiadomości. W tem znaczeniu Seignebos nazywa słusznie historję „rozmyślaniem na temat dokumentów".

Z nazwiskiem Macha, Poincaré'go, Bergsona, James'a, Euckena, Simmla i Vaihingera łączy się pojęcie prawdy względnej, warunkowo-czasowej. Jeśli dogmatyzm naukowy definjował prawdę za Arystotelesem, jako zgodność naszej myśli z rzeczywistością („*scientia est essentiae imago*"), — to pragmatyzm, instrumentalizm, czy fikcjonizm utożsamia prawdę z użytecznością. Prawda musi być sprawdzona, to znaczy, że jej następstwa mają wpływać korzystnie na nasze czynności.

Że myślenie nasze posiada przedewszystkiem charakter intencyjny, że dąży ono do przewidywania zdarzeń, a nie poprostu tylko do odtwarzania „rzeczywistości", — podkreśla bardzo silnie w ostatnich czasach H. Vaihinger, wybitny filozof niemiecki, znany komentator Kanta i twórca t. zw. „filozofji fikcji" („*Die Philosophie des Als Ob.*") .Autor ten wyszedł z rozważania znaczenia fikcji w dziedzinie matematyki, gdzie odgrywają one wielką rolę pomocniczą w obliczeniach. Fikcje są to pojęcia, a mówiąc ogólnie wytwory umysłu, niezgodne z rzeczywistością oraz zawierające sprzeczności wewnętrzne, a jednak prowadzące w rozumowaniu do trafnych, prawdziwych wyników. Takiemi fikcjami w matematyce są n. p. pojęcia „liczb urojonych", „wielkości nieskończenie małej", „kota", jako wielokątu o nieskończonej ilości boków i t. d. W naukach prawnych spotykamy termin „*fictio iuris*" (n. p. towar wysłany i niezwrócony w oznaczonym czasie jest uważany za przyjęty, syn adoptowany traktowany jako rodzony, instytucja jako osoba prawna i t. d.). W przyrodoznawstwie posługujemy się pojęciem eteru, siły, atomu, które są pełne sprzeczności, ale mimo to niezbędne w badaniu naukowem. Podobnie w mechanice: „absolutna" przestrzeń, „absolutny" ruch i „bezwzględnie" nieruchome ciało, w fizyce „doskonały" gaz i „doskonała" sprężystość, są fikcjami. Fikcjami są także nasze pojęcia ogólne („człowiekowi wogóle" nie odpowiada nic w rzeczywistości) i kategorje poznawcze: rzecz, własność, całość, część, ogólność, szczególność, przyczyna, skutek, które są środkami pomocniczemi przy porządkowaniu naszych wrażeń, są więc — jak powiada Vaihinger — „*theoretisch wertlos, aber praktisch wichtig*".

Nauka często wiele zawdzięcza teorjom, które okazały się fikcyjnemi i zastąpione zostały przez inne. Naprzykład teorja emanacji światła naprowadziła Newtona na ważne odkrycia, chociaż później ustąpiła innej fikcji, teorji fal eteru, której optyka również wiele zawdzięcza zdobyczy. Ale i ją zczasem wyparła teorja elektromagnetyczna światła.

Można jeszcze przytoczyć teorję kinetyczną gazów, która nie opierała się na żadnem doświadczeniu, a przecież była bardzo przez długi czas pożyteczną, bo przyczyniła się do odkrycia pewnego związku między ciśnieniem gazu a t. zw. ciśnieniem osmotycznem.

*

Wyznawcy scientyzmu traktują nie rzad z pogardą utylitarystów, pragmatystów, jako ludzi upośledzonych przez naturę, bo pozbawionych rzekomo specjalnego organu do zrozumienia nauki „czystej" i do odczucia rozkoszy płynącej z rozważań teoretycznych. Oburzają się, gdy się ich porównywa ze skąpcem, dla którego pieniądze przestały być środkiem, a stały się celem. Usiłują ponadto dowodzić, że badania, mające wyłącznie korzyść praktyczną na oku i poświęcające nierozsądnie czyste spekulacje zastosowaniom życiowym, praktycznym, powodują upadek, a przynajmniej zastój nauki. — Zastosowania — powiadają — najbardziej doniosłe wynikają zwykle z teoryj tworzonych w intencji czysto naukowej, teoryj, które nieraz przez szereg wieków kultywowano bez żadnego praktycznego rezultatu. I tutaj przytacza się zwykłe przykłady, że równania algebraiczne nasunęły ważne pomysły w dziedzinie elektrotechniki, a czysto teoretyczne rozważania Archimedesa i Apolloniusza w zakresie geometji do-

[3]). Żob. Prof. Dr. J. Goldstejn: „Nowe drogi w filozofji współczesnej ze szczególnym uwzględnieniem stosunku nauki do życia" przekł. pol. Warsz. 1912. str. 77.

prowadziły w setki lat później do cennych zdobyczy w astronomji oraz udoskonaliły żeglugę.

Tymczasem doświadczenie dostarcza nam także przykładów przeciwnych, z których wynika, że często nauki stosowane wyprzedzają teorję, jak to widzimy w elektrotechnice. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę nieproporcjonalność rezultatu w stosunku do pracy i energji umysłowej, włożonej w tego rodzaju spekulacje, możemy śmiało postawić pytanie, czy człowiek rozporządza tak wielką ilością środków i takim zapasem energji, że może sobie pozwolić na „okrężne" dochodzenie do celu, szukając najpierw t. zw. bezinteresownej prawdy, a następnie ją zużytkowując, czy też powinien raczej starać się odrazu wybrać najprostszą i najkrótszą drogę do celu? Niema oczywiście żadnych recept i przepisów w dziedzinie twórczości naukowej, podobnie jak i w artystycznej, ale można przecież przy odpowiedniem staraniu obudzić zainteresowanie i naśladownictwo danego typu twórczości. Dlaczego mielibyśmy je budzić dla typu najmniej produktywnago? Miejmy odwagę powiedzieć, bez obawy posądzenia o ignorancję, że uprawianie takich nauk może posiadać tylko wartość gimnastyki umysłowej, a więc może być tylko środkiem do celu, którego jednak znaczenia nie należy przeceniać. Budzenie przesadnej czci dla tego rodzaju nauk jest błędne i szkodliwe. Nie należy oczywiście wpadać w skrajność przeciwną i sądzić, że taka tylko nauka posiada wartość, która przynosi bezpośrednią i natychmiastową korzyść. Obserwacje meteorologiczne czy klimatologiczne mogą latami wydawać się nieużytecznemi, aż wkońcu usprawiedliwią włożony w nie trud i znajdą praktyczne zastosowanie n. p. w obliczaniu opadów atmosferycznych.

Najnowsze badania nad psychiką ludów pierwotnych oraz dzieci doprowadziły do wniosku, że najwcześniejszym i najpierwotniejszym sposobem reagowania człowieka na zjawiska świata otaczającego jest zajęcie wobec nich pewnego aktywnego stanowiska, a nie czysto objektywne ich stwierdzanie. Do najbardziej napozór przedmiotowych twierdzeń wkradają się zawsze nasze pragnienia, życzenia i skłonności, a samo już spostrzeganie i rozróżnianie faktów opiera się na zasadzie świadomego lub nieświadomego wyboru. — Z historji nauk wiemy, że wszystkie prawie powstały z potrzeb praktycznych: astronomja z potrzeby urządzenia kalendarza, geometrja dla pomiarów gruntu, mechanika dla budowy machin. „Bieda — powiada W. Jeruzalem — nauczyła człowieka nie tylko modlić się, ale i myśleć. Intelekt jest naszą najważniejszą bronią w walce o byt"[4]).

*

We współczesnej filozofji nauk przeważa zdanie, że popęd poznawczy rozwinął się z instyktu życiowego i że intelekt stoi na usługach życia. Zresztą według pragmatystów nie intelekt sam, lecz „człowiek w swej całości" wytwarza prawdę. Logika racjonalna daje tylko pewien rodzaj poznania wogóle. Rzeczywistość bowiem nie mieści się bez reszty w pojęciach racjonalnych. Samo gromadzenie dat oraz systematyzowanie faktów nie czyni zadość naszemu dążeniu do powiązania tych faktów w organiczną jedność. Stąd poznawanie, oparte na rozumie, musi być w stadjum następnem zastąpione przez rozumienie, oparte na władzach irracjonalnych, na przeżywaniu, wczuwaniu się, intuicji.

Istnieją już pewne przejawy dowodzące, że wielu z pośród wybitniejszych uczonych odczuwa potrzebę ściślejszego spojenia nauki z życiem. I u nas podnoszą się już głosy, protestujące przeciw nadawaniu nauce celu zaspokajania prostej ciekawości, przeciw tworzeniu przepaści między nauką a życiem, przeciw scientyzmowi. Ze zbioru artykułów wybitnych naszych uczonych p. t. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój", przebija się wyraźnie pragmatyczny pogląd na zadanie nauki. Prof. J. Rozwadowski mówi tam wprost: „Hasła takie jak „nauka dla nauki" lub „sztuka dla sztuki" mogą znaczyć tylko tyle, że nie należy wprowadzać do nauki lub sztuki stanowisk, ocen, czynników i sposobów im obcych, pod wpływem egoistycznych pobudek, ale nic więcej. Zresztą nauka istnieje nie dla siebie, lecz dla ludzi, tak samo jak i sztuka i cała kultura, i właśnie dlatego musi być uczciwie uprawiana, bo ma znaczenie życiowe, a życie nie da się długo oszukiwać" [5]). Jeszcze dobitniej zaznacza to prof. F. Bujak: „Nauka teoretyczna ma znaczenie narzędzia, środka do celu, którym jest nauka stosowana. Cała nauka jest nie celem dla ludzkości, lecz środkiem, środkiem do dobrobytu i szczęścia. Celem może być nauka tylko dla jednostki i to jedynie pod pewnym kątem widzenia"[6]).

Chciałbym tutaj wskazać jedną z głównych przyczyn zerwania łączności nauki z życiem. Mojem zdaniem—jakkolwiek może się to komuś wydać paradoksem — przyczyną tą jest nadmierna specjalizacja nauk. Zaznaczam zgóry, że zdaję sobie dobrze sprawę z konieczności i doniosłości tej specjalizacji przy dzisiejszym stanie wiedzy, nie mniej jednak pragnę jak najsilniej podkreślić, że zatracenie kontaktu poszczególnych nauk między sobą zawiera wielkie niebezpieczeństwo, wynikające zwykle z braku skoordynowania wspólnych wysiłków.

Uczony tylko wtedy może pracować produktywnie w zakresie swojej specjalności, gdy rezultat swoich badań konfrontuje z rezultatem innych graniczących nauk, gdy dobrze sobie uświadamia cele i zadania nie tylko swojej nauki, lecz także wszystkich innych nauk, gdy uświadamia sobie cele i granice poznania wogóle. Zasklepianie się w swojej li tylko gałęzi wiedzy specjalnej prowadzi w konsekwencji do przeceniania drobnych i błahych zagadnień, do wyobrażania sobie, że stanowią one centrum świata; wtedy „Drzewa przeszkadzają widzieć las" [7]). Nie można oczywiście przy dzisiejszym stanie wiedzy wymagać n. p. od historyka literatury, aby opanował szczegółowo i gruntownie psychologję, biologję, chemję, socjologję i inne jeszcze nauki. Chodzi tylko o konieczne zaznajomienie się przynajmniej z metodologją nauk przyrodniczych i humanistycznych, z ich historją oraz wzajemnym stosunkiem. Uzyskawszy taką perspektywę, uczony znajdzie się w sytuacji podobnej do sytuacji taternika, który na tle rozległej panoramy górskiej widzi zaledwie dostrzegalną plamę swego domu, z którego okna przedtem wzrok zatrzymywał się zaraz na pierwszem nieznacznem wzniesieniu się terenu. Rozszerzenie horyzontu myślenia jest niezbędnym warunkiem owocności badań w zakresie pewnych szczegółowych problemów. Trzeba jeszcze raz z naciskiem podkreślić, że rozumienie jakiegoś wycinka rzeczywistości możliwe jest tylko przez od-

[4]). „Wstęp do filozofji" Warsz. Lwów 1926. str. 17.

[5]). „Nauka Polska" I.III. str. 6—7.

[6]). Tamże str. 65.

[7]). Niespecjaliści, przyswoiwszy sobie szerszy widnokrąg umysłowy, dochodzą czasem do bardziej doniosłych wyników, niż specjaliści. Zasługi Goethego w dziedzinie nauki o barwach oraz teorji rozwoju życia organicznego są znane. Prawnik Salviali odkrył skład chemiczny weneckiej mozaiki szklanej, co przez długi czas nie udawało się specjalistom chemikom. Lekarz Robert Mayer określił prawo zachowania energji i stworzył mechaniczną teorję ciepła. Kupiec samouk Schliemann dokonał ważnych odkryć w dziedzinie archeologji. Zob. Struve: Wstęp krytyczny do filozofji Wyd. 3, sr. 370.

niesienie go do całości: Porównanie jest podstawą pracy naukowej.

Nakoniec jeszcze jedno. Jeżeli mowa o zbliżeniu nauki do życia, to nasuwa się także postulat zbliżenia uczonych do życia. Tymczasem wiemy z doświadczenia, że wielu uczonych uważa niejako za cechę swojej „naukowości" i wyższości—życiowe odosobnienie. Mam na myśli nie tylko t. zw. „nie mieszanie się do polityki", uwłaczające podobno czci prawdziwego uczonego, ale także trzymanie się „dla braku czasu" zdala od wszelkich zagadnień żywotnych, aktualnych, poruszających w danej chwili umysły.

Przykład uczonych rosyjskich, którzy mieliby dzisiaj i czas i ochotę zabrać głos w wielu wypadkach, ale nie dostaje im niestety jednego niezbędnego warunku: wolności myśli i słowa, niech będzie groźnem *memento*.

JAN BRONISŁAW RICHTER

PAUL CAZIN

CZYTELNIK polski powinien znać Cazin'a jako doskonałego tłumacza rzeczy polskich na język francuski. Przełożenie pamiętników Paska, nagrodzone przez Akademję Francuską byłoby dostatecznym powodem do wdzięczności z naszej strony. Obok tego dał Cazin przekład Podfilipskiego, dwóch opowiadań Reymonta („Sprawiedliwie" i „Z ziemi Chełmskiej") i „Kazania niedzielnego" Zapolskiej. Wreszcie, jako znawca literatury polskiej ma na sumieniu szereg odczytów i artykułów o rzeczach polskich.

Jeśli tu piszemy jednak o Cazin'ie, to nie dla uwydatnienia jego zasług dla Polski, lecz dlatego, że jest on wybornym pisarzem francuskim. Dał się poznać dopiero po wojnie, lecz w ciągu lat dziesięciu zdobył sobie poważne i odrębne stanowisko literackie. Zaczął pisać późno, wydaje mało—ma w swym dorobku pięć tomów tylko — lecz powiedzieć o nim można — *non multa sed multum*. Pod tym względem jest to pisarz niedzisiejszy i ma widoczny wstręt do masowej produkcji i wyzyzkiwania tematów, nie chodzi mu o „zrobienie książek", lecz o wypowiedzenie tego, co myśli i co czuje. Natura raczej kontemplacyjna. Potrafi wydobyć materjał poetycki z życia codziennego. Jeśli pominąć jego pamiętnik wojenny („*L'Humaniste à la guerre*") to opowiada rzeczy zwykłe, nawet bardzo zwykłe. Lecz w zjawiskach i wydarzeniach pospolitych dostrzega załamanie się rzeczy wielkich. Nie treść jego opowiadań, lecz stanowisko zajęte wobec życia przez autora wzrusza czytelnika. W wydarzeniach codziennych życia ludzi pospolitych dostrzega dzieło Opatrzności.

Cazin patrzy na ludzi i życie nietylko oczami artysty, lecz także oczami człowieka posiadającego wiarę i wiedzę. We Francji jest zaliczany do pisarzy katolickich. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że znajdzie w jego pismach teologiczne rozważania, jest daleki od tego. Lecz ma umysł urobiony w szkole i tradycji Kościoła, zrozumienie serc prostych i wierzących. Jest w tem, co pisze, odbicie stylu „Kwiatków" św. Franciszka z Assyżu. Równocześnie posiada Cazin gruntowną znajomość dorobku umysłowego starożytności — Grecji i Rzymu. Jest to dominująca nuta w jego dziele. Lecz i w tym wypadku napróżno by szukał czytelnik aparatu naukowego i chwalenia się erudycją. Natomiast widać umysł i wrażliwość, urobione na wzorach starożytnych. Uderza zaś i pociąga pełna harmonja między katolicyzmem i rzymskością pisarza. Harmonja ta zresztą nie jest sztuczna, istnieje w jego umyśle i sercu.

Wobec zbliżającego się renesansu ducha katolickiego i kultury starożytnej będzie Cazin z pewnością uważany za należącego do rzędu prekursorów. Jest we Francji wielu pisarzy, którzy teoretycznie głoszą „reakcję" w dziedzinie literatury — nawrót ku katolicyzmowi i klasycyzmowi. Cazin nie stawia żadnego programu, lecz ma duszę i styl „reakcyjnego" pisarza. Nie jest prorokiem, lecz wyznawcą nowego prądu. Jest szczery, ma taki „styl", bo innego mieć nie może.

Jeśli się interesuje Polską i kocha jej literaturę, będąc krytykiem surowym i mając umysł skłonny do sceptycyzmu, to z pewnością dla tych jej pierwiastków, które się wytworzyły pod wpływem katolicyzmu i Rzymu. Najlepsi i najpewniejsi przyjaciele nasi w Europie są ludźmi tego typu. Do ich rzędu należy Chesterton. Polska pociąga ludzi „reakcji" europejskiej, reakcji przeciw materjalizmowi i indywidualizmowi, które doszły do najwyższego rozwoju w wieku XIX-ym.

Dwie książki Cazin'a mają charakter autobiograficzny — wspomniana już „*L'Humaniste à la guerre*" i „*Décadi, ou la pieuse enfance*". Pierwsza to pamiętnik wojenny, druga — to wspomnienie dzieciństwa. W nich najwierniej odbija się dusza pisarza. „*L'Hôtelière du Bacchus sans tête*" jest opowiadaniem przenoszącem nas w dawne czasy, gdy we Francji przeważali ludzie bogobojni. Pozostałe dwa tomy — „*L'Alouette de Pâques*" i „*Les Lubies*" — to zbiory krótkich opowiadań, wspomnień osobistych i rozpraw krytycznych. Są wśród nich rzeczy doskonałe, że wspomnimy tylko opowiadania p. t. *Le Saint Patron de Baptistin*, lub zmodernizowaną opowieść o kopciuszku (*Cendrillon à la Crèche*).

Czytając książki Cazina, stwierdzamy często jego znajomość rzeczy polskich — przebija ona w jednem zdaniu, w jednem nazwisku. Są jednak i tematy bezpośrednio polskie. W „*L'Alouette de Pâques*" znajdujemy pełną sentymentu nowelkę p. t. „*Le Noël des trois Nowaks*" — wspomnienie z czasów, gdy Cazin był tłumaczem w obozie jeńców polskich czasu wielkiej wojny; w „*Les Lubies*" znajdujemy rzewną rzecz o Reymoncie, garść wspomnień „rzuconych na trumnę wielkiego pisarza na to, by pokazać jak kochał Francję". Wspomnienia te mówią nam jednocześnie, jak nasz Reymont dał się kochać nietylko swoim, lecz i obcym.

Na zakończenie tych uwag pragniemy stwierdzić, że czytanie Cazin'a musi budzić otuchę w czytelniku polskim; bo jeśli pisarz tak nawskroś katolicki i rzymski znajduje tyle rzeczy bliskich sobie w piśmiennictwie, a więc w duszy polskiej, to jest to dowodem niezbitym, że pierwiastki te silnie tkwią w całej naszej kulturze i twórczości. A to, nakładając na nas duże obowiązki, daje jednocześnie wielkie korzyści — wiąże przyszłość naszą z czemś obszerniejszem i większem, niż los jednego narodu, z typem kulturalnym i cywilizacyjnym, przodującym — jak sądzimy — na ziemi. Uświadomienie na Zachodzie tej duchowej pozycji Polski jest najlepszą i najskuteczniejszą „propagandą" na rzecz Polski. Oczywiście propagandą skuteczną tylko wówczas, jeśli ten „zachodni" typ cywilizacji i kultury zapanuje wśród nas, jeśli nowe pokolenia nawiążą porwane gwałtownie w okresie niewoli nici ciągłości kulturalnej z Polską przedrozbiorową. VIATOR

KRÓLOWY MOST

Rotmistrzowi Józefowi Młodeckiemu

KRÓLOWY MOST

Dwa pozłotne gościńce sprzęga Most Królowy, —
jak na szlacheckim brzuchu klamra końce pasa!
jeden: ze wzgórzów śmiga w przestwór turkusowy,
drugi: do ziem przywarłszy, błąka się wśrod lasa.

Nad tym: patrjarcha boru śni dąb — Matuzalem,
trzęsą się kity choin, jaśniej niż puch - czaplic,
tamten: słońcu, jak panna, kuszona koralem,
rozśmiewa się w przedprożu opuszczonych kaplic...

Tu: posuwiste głucho ściele się igliwie,
tam: wiew zmiata kurzawę błękitnemi chwosty...
— Gościńce! by pas lity klamrą, połyskliwie
sprzęgam dwie dale wasze królowemi mosty!

CERKIEW

Niestety! rdza zgasiła pękate kopuły,
spełznął blichtr patynowy z obramień i krzyży,
krwią pali się we wnękach miedź, jak karbunkuły,
wrótnie, z okuć wydarte, powisają niżej...

Nic to! Utajonego z cerkwi nie wypędzi
zagłada: nad ruinę mocarniejszy — Zakon! —
Patrz! Zali świece gorą? Słysz! Azali gędzi
modlitwy, przed ikoną bijąc czołem, djakon?

O, tak! I z puszczy lecą tchnienia kadzidelne,
srebrny szum bije w okna, wionie ku posowie...
pada na głazy szkarłat i kwiecia weselne...
Pana wielbią chorałem pieściwym czerńcowie...

WIECZÓR ŚWIĘTOJAŃSKI

Będę czekał, — zegarze, wolniej chwile kowaj! —
rozplotę szlak przyjazny ze dzwońców i mietlic,
Przyniosę łagwie miodu, kołacz i korowaj
i pokładę na stoły wśród jodłowych świetlic.

Otworzę nawściąż okna, i wieże, i wrota,
zasiędę, spojrzę w ciszę z białej kalenicy,
póki się nie przeskrzydli w Widzialne — Tęsknota:
...leśne przyjdą uboża do mej wieczernicy!

Krase przyjdą brzeginie i wiły zalotne,
potrząsną posochami, zgaszą nów miesiąca
i rozpostrą mi — w ciemni — wiązanki paprotne,
w których kwiat — szczęście błyśnie, jak gwiazda tańcząca!...

UMARLI

Jak to? błoga dojrzałość weseli się w niwach,
niszczeje kłos, rozrzutnie kołysając ziarny,
a wy, o bracia moi, przecz że nie przy żniwach?
... — Nie wołaj! Ciała nasze śpią w ziemi cmentarnej...

Jak to? górniej stuletnie nie wyśmigną bory,
zgina się rębna jodła i błaga poszumnie,
a wy przecz nie chwytacie, bracia, za topory?
... — Nie wzywaj! Ciała nasze w poświęcanej trumnie...

... — Nie budź! Bo, ni dorodne pnie przez drwala ścięte,
nie wstaniemy, zewłoki, dla człeczej rzewności,
bo duch zbiera, wskrzydlony w cisze niepojęte,
żniwo siejby doczesnej — za wrótmi wieczności.

ODBICIA

Wzorzyściej gore strumień, niźli tęcze słuckie!
...Wychylony ku niemu guślarz, siwy chojar,
osypuje z podniebia... perły kałakuckie
i wraz lisim kołpakiem kłania się, jak bojar.

...Obłok, rozbiwszy fale srebrzystemi raćmi,
by sarn — słucha i wznosi księżycowy rosoch,
a nurt pod nim się skłębi, oniemi i zaćmi
i wraz odbije — gwiazdy, zdjamencone — w Posoch!

Truchleją święte brzozy i klękają wedle
urocznego ruśliska i podnoszą modły...
...żeć przejrzały się — nagie — w roztoczy — zwierciedle,
że wraz się dla piękności swej grzechem uwiodły!

W KAPLICY LEŚNEJ

W kaplicy, — nie: w gontynie, -- gdyby w Wieczerniku,
Pańska się ku Biesiedzie zakrzątnęła czeladź
tu, przy płowym pokładźcie wieniec podpłomyku
i sok winny ze dzbana lża do Czary przelać!

Oto Starce — Dwunastu — wsparły się u stoła
pod dębowemi stołpy, pod tą lampą jasną...
...I czekający Chrysta — długo, zwieszą czoła
i o świcie, radośnie utrudzeni, zasną.

A o brzasku, u proga — Gość się zastanowi
i nie zbudzi je, senne w cichej różaności,
lecz ku przywiedzionemu w bolu — nędzarzowi,
Judzie, — podniesie Kielich Łaski i Miłości...

JANUSZ KAWECKI

Królowy Most — Warszawa,
Lipiec 1927.

LIBERUM VETO

Już dosyć łąki się napiły. — Gdzie polacy? — Dwa stada z Ameryki. — Kościół pod wezwaniem św. Sanatora i jego sakrament. — Drzymała — Koniec strajku.

W RZYMIE mówiono o ludziach, którzy nasycili się korzyściami zdobytemi na dochodnych stanowiskach, za Wirgiljuszem: *„Jam satis prata biberunt"* (Już dosyć łąki się napiły). To samo mówi się dziś w Polsce o „sanatorach". A nawet oni sami w kłótni między sobą wzajemnie obrzucają się temi słowami. Walka toczy się głównie około wyrazu „dosyć". Inaczej bowiem pojmują go ci, którzy piją i ci, którzy przypatrują się pijącym. Nasi „sanatorzy", których właściwie należałoby nazwać *„morbiferentes"*, którzy przypatrują się pijącym, mają pragnienie wielkie i gardła spustne, zadowolić ich niełatwo. Ileż już zdobyli posad, wysokich urzędów, funduszów dyspozycyjnych, zasiłków, darów jawnych i tajemnych—a ciągle jeszcze podają cześnikom swoje kielichy, kubki, kubły i stągwie, zapewniając, że dalej pić mogą i dotąd pragnienia swego nie ugasili. Wytworzył się w nich już nałóg napojowy, alkoholizm władzy i dochodu. Czy na długo piwnica dla nich wystarczy — trudno przewidzieć i osądzić, czy już nadszedł czas dla przypomnienia słów Wirgiljusza.

Nadszedł jednak dawno czas, ażeby z miljonów, wydawanych na utrzymanie jarmarcznych bud w prasie, na opłacanie faktorów i naganiaczów wpuszczanych schodami kuchennemi lub oczekujących w przedpokoju na żołd i rozkazy, ażeby z tej beczki coś ulać na pilne i ważne potrzeby państwa. Wymowny, niestrudzony i nieustraszony ich obrońca A. Nowaczyński, opisując w „Gazecie Warszawskiej" ofiary i triumfy innych narodów w sferze innych narodów, pyta: „Gdzie polacy?" Dziennik paryski *„Figaro"* dał na koszta udziału Francji w igrzyskach olimpijskich miljon franków, czech Peczek — półtora miljona koron na lot Praga — New-York, — zawiązało się Towarzystwo żeglugi powietrznej dla komunikacji przez ocean Atlantycki, które skróci czas przewozu poczty o 40%— a my gdzie polacy? Wodzą się za łby, obrzucają się błotem kłamstw i potwarzy, tropią nieprawomyślnych, szpiegują się i denuncjują, zabijają rozlepiających afisze wyborcze przeciwników, a gdy im przyjdzie na myśl sprawność fizyczna i techniczna narodu, wskazują na zwycięzców w jeździe konnej i podbijanie piłki nożnej. Pod osłoną znakomitych „hipików" i „bramkarzów" możemy żyć bezpiecznie i spać spokojnie. A gdy ktoś wspomni o samolotach, odpowiadamy: A czyż nie mamy dosyć bocianów i jaskółek, które przelatują morza bez żadnych kosztów, potrzebnych na tworzenie „sanacji"?

Przyleciały do nas z Ameryki dwa stada rodaków: jedno — to weterani wojenni, których przyciągnęła do Polski miłość i tęsknota, drudzy — to trupa teatralna, sprowadzona na gościnne występy przez „sanatorów". Pierwsi zwiedzali kraj, rozczulali się, zacieśniali węzły braterstwa, drudzy dawali przedstawienia galowe i śpiewali psalmy bałwochwalcze. Ameryka jest od kilku lat polem operacji rozmaitych Reisenderów politycznych, obwożących próbki towarów wyrobu tutejszych partyj, między któremi szczególną zabiegliwością i natrętctwem ofert odznaczają się chrzczeni i niechrzczeni „lewici". Oczywiście w zamówieniach nie chodzi im o zdobywanie sympatji, ale o pieniądze. Polacy amerykańscy mają dużo dolarów, a jeszcze więcej łatwowierności, więc pozwalają łatwo rodakom doić swoje kieszenie. Ile tego mleczka wyciśnięto i przywieziono do Polski spławionego tajemniczemi kanałami — nie wiemy, ale wiemy, jak je przerobiono w zbankrutowanych bankach i innych przedsiębiorstwach. Obecnie już to pompowanie naiwnych rodaków po przykrych rozczarowaniach znacznie zmniejszyło się, ale w części wychodźtwa pozostała jeszcze wiara w tutejszych zbawicieli, i cudotwórców, do których wyznawcy i czciciele przybyli w pobożnej pielgrzymce. Czy też tym pątnikom, którzy zapewne złożyli ofiary na ołtarzu kościołka pod wezwaniem św. Sanatora powiedziano, ile dolarów i złotówek stanowiących w nim hostje i komunikanty spożywają dziennie jego kapłani, organiści, zakrystjani, dzwonnicy, śpiewacy chóru, dewoci i dewotki wpisani w różaniec tej sekty w rodzaju marjawickim? Podobno są to sumy bajońskie. Około 900.000 złotych miały kosztować same modlitwy rozlepiane w afiszach podczas wyborów. Tak obliczają w Żoliborzu i namiotach Powązek. Ale mogą to być przesadne domysły. Ludzie ciekawi skarżą się, że żyjemy w mgle i mroku tajemnic. Tak n. p. nie wiadomo, jakie są losy nieujawnionych dotąd oprawców posła Zdziechowskiego. Ale z pewnością wynagrodzi ich sławą historja — chociaż bezimiennie.

Drzymała, walcząc przez kilka lat w swoim słynnym wozie z potęgą rządu pruskiego, zamało widocznie okazał męstwa i zasługi, to też nie darowano mu kawałka parcelowanej ziemi państwowej i żądano zapłaty, której nie mógł uiścić. Ale zawsze znajdą się ludzie uparci w podnoszeniu spraw słusznie upadłych: zawiązał się w Bydgoszczy pod przewodnictwem Weyssenhoffa komitet, który nie patrząc na zastrzeżenia „Głosu Prawdy", zbiera ofiary na kupno osady dla Drzymały.

Śród krzyków bokserskiej walki dziennikarskiej nie zauważono dostatecznie wiadomości z Włoch, która nie powinna być dla nas obojętna. Oto ustanowiony przez faszystów Trybunał Pracy rozstrzygnął pierwszym wyrokiem zatarg między plantatorami ryżu a robotnikami, którzy żądali podwyżki płac i sprawę wygrali. Nakoniec tego rodzaju spory zaczynają wchodzić na właściwą drogę, nakoniec umiłowany, uświęcony, wielką dumą nadziany, a w swych formach ohydny i w skutkach niszczący społeczeństwa strajk przestaje być siłą regulującą stosunki między pracą i kapitałem a nadewszystko barbarzyńskim terrorem. Najwierniejsi wyznawcy jego rodzica, bolszewicy, już go zdusili, chrzestni jego ojcowie, anglicy, już go skrępowali, za tymi przewodnikami pójdziemy kiedyś my na końcu ogona. W naśladowaniu dobrych wzorów nie spieszymy się, ale za to w głupstwach i szaleństwach prześcigamy inne narody. Pomimo to nie trzeba tracić nadziei, że kiedyś, kiedyś, gdy cały świat przestanie strajkować i my uznamy, że nam samym bronić tego dzikiego przeżytku nie wypada. Wyobrażam sobie, jak na tę myśl wstrząsają się wszyscy prawowierni bracia w Marksie i jak wołają: *Apage, apage satanas!* Precz szatanie!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

SPRAWIEDLIWOŚĆ W RĘCE ŻYDÓW

PRZED przewrotem majowym w sądownictwie naszem było coś około 7 procent aplikantów-żydów. Dziś, po roku rządów „sanacji“, jest ich około 33 procent.

P. Wojciech Stpiczyński, w czasie odprawiania dorocznych guseł w roku zeszłym w dn. 6 sierpnia w Kielcach, orzekł, że rządy sanacji trwać będą conajmniej lat 15. W czyich rękach znalazłaby się wtedy sprawiedliwość? Niema żadnych danych, by pęd ku jej zażydzeniu słabł „z wiekiem“ sanacji. Czy w sądownictwie Armji naszej dostateczną przeszkodą obawie tej będzie gen. Krzemiński, poprzednio Frydman, stojący na jego czele? Czy też w zakresie kontroli wojskowej dostateczną przeszkodą będzie pułk. Ścieżyński, poprzednio Stieglitz, postawiony na jej czele zamiast przesanowanego na fachowca bankowego gen. Góreckiego?

Sądownictwo, wymiar sprawiedliwości jest właśnie tą dziedziną, której wzięcie w pacht przez żydów jest absolutnie niedopuszczalne. Wcześnie też trzeba zdać sobie tutaj z tendencyj sanacyjnych sprawę i ostrzedz opinję, ślepym dotąd pokazać jeszcze jedną cyfrę z bilansu sanacji — może wreszcie dostrzegą jej rolę w Polsce.

Wymiar sprawiedliwości pozornie opiera się tylko na literze prawa pisanego; jest wątpliwość prawna, czy przestępstwo, podciąga się je pod odnośny przepis prawny: wniosek, wyrok—zgóry jest ustalony również przepisem prawnym. Sądzącym przypadłaby tu rola automatu.

Złudą jednak byłoby przypuszczenie, że przepisy kodeksów mogą z całą precyzyjnością zawsze i wszędzie dopasowane być do różnolitości zdarzeń życiowych. Przepisy prawne najczęściej spełniają rolę ramy; treść w tą ramę wlać, wypełnić ją — jest rolą sędziów. Dlatego też żywe jest w nas poczucie poszanowania funkcji sędziowskiej, bowiem wzrosło w nas przeświadczenie o konieczności posiadania przez sądzących wysokich walorów moralnych. Boga zwiemy Sędzią Najwyższym.

Wymiar sprawiedliwości opiera się tedy nie tylko na prawie pisanem, ale i na poczuciu jego, na poczuciu moralnem, na etyce sądzących. Etyka zaś nie jest czemś, czem nasiąknąć można z ksiąg, coby było wynikiem wykształcenia, inteligencji. Jest pierwiastkiem irracjonalnym, który rodzi się w duszy siłą wiary, tradycji, kultury. Inną jest więc etyka murzyńska — inną chrześcijańska, zachodnia, rzymska. Djametralnie różna jest etyka żydowka — i nasza, chrześcijańska. Źródłem jednej Talmud, — drugiej Ewangelja.

I dlatego też żyd, nawet przypuściwszy brak skłonności do geszeftu na terenie Sądu, jako obcy nam etyką—nie może sądzić w naszem rozumieniu sprawiedliwie. Oddawanie sprawiedliwości w ręce żydów—jest w rzeczy samej niszczeniem poczucia prawa w narodzie.

A ze zniszczeniem poczucia tego przez obóz sanacyjny spotykamy się nie pierwszy raz dopiero — powstaje pytanie, czy zażydzanie sądownictwa jest akcją nieświadomą, płynącą z całokształtu założeń liberalnej demokracji. Jest to jednak zagadnienie inne.

Dziś chodzi o stwierdzenie, że naród kultury rzymskiej, o etyce chrześcijańskiej — nie może mieć innej sprawiedliwości, jak tylko przez ludzi tejże kultury i etyki wymierzonej, przez ludzi tak samo jak on rozumiejących sprawiedliwość. Inaczej sprawiedliwość zyska treść obcą, dyktowaną przez obce, inne poczucie moralne sądzących, przestanie być „sprawiedliwą“.

Możliwe, że wśród żydów zdarzą się i tacy, którzy przejmą się kulturą chrześcijańską; są to jednak unikaty. I dlatego oddawanie sprawiedliwości w ręce żydów jest absolutnie niedopuszczalne.

JAN ZDZITOWIECKI

O WYRÓWNANIE TERENU

PAN WIDZ fejletonista-ideolog „Epoki“ (sanacja—Paneuropa) jednego dnia propaguje język Esperanto, który „wywołuje wielką niechęć w obozie szowinizmu“(?), a którym tak świetnie władają Leo Belmont i Juljan Tuwim. Nazajutrz p. Widz zwraca się do swego najbliższego środowiska w sprawie obrzezania, pouczając rabinów, że na trupach lepiej nie robić tej operacji. Pan Widz jest liberałem, więc jest przerażony, że „kler żydowski również podnosi głowę, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie jest gorszy od klera innych wyznań.“ W Judeo-Polsce masońskiej z „klerem“ trzeba ostro, a najgorzej, że kler katolicki demoralizuje duchownych żydowskich — podnosi głowę!

Ale wnet półurzędowy ideolog bierze się do publicystyki polskiej. W „Myśli Narodowej“ (podnosi głowę!) jest mowa (№ 17), że trzeba przenieść walkę z sanacją na właściwy grunt. Pan Widz ma zadanie interwenjować zawsze, ilekroć mowa o masonerji. Według niego w informacjach o masonerji, ani w tem, co pisze o niej niejaki Zygmunt Wasilewski, nie ma cienia prawdy objektywnej. Są to halucynacje psychopaty dotkniętego manją prześladowczą. „Przeląkł się parę lat temu (?) masonerji i od tego straszaka oczu już oderwać nie może. Rzeczywiście możnaby pomyśleć, że masonerja okropną jest potęgą, skoro potrafi tak bezlitośnie rzucić się komuś na mózg“. „Już się to wszystko mąci i w trzy po trzy zamienia. Już nie wiadomo, o co chodzi“...

Niechże p. Wassercug nie myśli, że komuś w Polsce może zależeć na osobistem jego przekonaniu. O ważniejsze rzeczy chodzi, a wśród nich o pokazanie polskiemu społeczeństwu, że musi być ostrożne z prasą, bo pisują w niej nieraz obojętni na obrót spraw polskich „widzowie“, cynicznie prawdą gardzący, a tak lekceważący opinję polską, że nawet im się nie chce stylizować z sensem starych „kawałów“ oszustwa.

Ze wszystkiego bodaj najbardziej ubliżający jest ten ton bezceremonjalności, stosowany przez żydów w prasie polskiej. Czy w społeczeństwie cywilizowanem publicysta ośmieliłby się dzisiaj takiemi „dowcipami“ załatwiać kwestję dojrzałą już do rozwiązania i bynajmniej nie tajną? Taka żydowska metoda jest możliwa tylko na poziomie ulicy, która codzień jest widownią oszustw ze szkiełkami sprzedawanemi w charakterze brylantów, a nawet takich operacyj, jak sprzedaż kontraktowa kursującego po mieście wagonu tramwajowego, o której teraz czytaliśmy w „ABC“. Metody argumentowania Widza z małej Warszawki możliwe się wydają tylko w atmosferze zupełnej obojętności na sprawy publiczne, w atmosferze, w której ważniejszy jest jakiś żart na temat czyjegoś „przerażenia“, niż kwestja, czy są takie rzeczy w życiu narodu, które mogą przerażać.

Pan Wassercug jest z tej najmniejszej Warszawki nalewkowskiej, która nie potrafi obliczyć dystansu, jaki ją dzieli od życia historycznego. Swoją nawet służbę w kadrach masonerji (też nie przelewki!) traktuje szablonowo i już nazbyt bezmyślnie. Położenie masonerji dzisiaj nie jest tak łatwe, jak przed wojną, kiedy byle frant mógł rozśmieszyć towarzystwo drwiną na temat rzekomych legend o masonerji. Obecnie doszło do rozstrzygnięcia (Włochy) w jawnej frontowej walce narodów z obozem masonerji. Są to rzeczy realne, tyczące bytu, a p. Widz tak je widzi, jakby chodziło o rozmowę z nim: „Ma rację p. Wasilewski. Są dwa odmienne tereny walki z przeciwnikiem. Na tym terenie, tak bardzo nerwowym, polemiki na serjo prowadzić nie można“...

A komużby się chciało z nim polemikę prowadzić! O polemice niema już mowy. Przyszły czasy walki. I nikt nie jest tak śmieszny w tych czasach, jak żydowski publicysta, ufny w swe metody szablonowego szyderstwa, a pozbawiony najważniejszego daru publicystycznego — intuicji.

Umysł żydowski jest katastrofalny, działa bowiem zawsze nad przepaścią, która go dzieli od rzeczywistości dziejowej. Jeden jest tylko pomost do rzeczywistości — serce. Kogo z rzeczywistością nie łączy serce, temu na niczem nie zależy, bo za nic nie odpowiada moralnie. Nie ma przez to intuicji—to prawda, ale za to niczego się nie boi. Żyd boi się tylko psa. Trwoga o los „jakiejś“ ojczyzny jest mu obca. Uważa ją za coś tak śmiesznego, że motyw „człowieka przerażonego“ boki mu śmiechem zrywa.

O, panie Widz, gdyby pan miał jaką ojczyznę, tobyśmy może polemizowali z sobą. Jeśli o tem zrównaniu terenu pan myślał, to ono nie nastąpi.

Z. W.

OBOWIĄZEK WOBEC JĘZYKA

Zamieszczane obecnie dosyć często w czasopismach artykuły o błędach językowych uważać należy za objaw wielce pożądany. Naród, który nie troszczy się o swój język, nie wart jest imienia „wielkiego narodu“. Wszakże jednem z naczelnych zadań Akademji Francuskiej jest pielęgnowanie języka francuskiego, dbanie o jego czystość; do grona „nieśmiertelnych“ nie dopuści ona nikogo, kto nie włada po mistrzowsku językiem francuskim,—językiem bez skazy;—choćby to był pisarz bardzo utalentowany, mąż zasłużony, a nawet autor wszechświatowej sławy.

Dbałość o język polski jest nam obecnie więcej, niż kiedykolwiek potrzebna. I dawniej mowę naszą potoczną, zwłaszcza na kresach etnograficznej Polski szpeciły potrochu różne germanizmy i rusycyzmy, obecnie jednak dzieje się na całym obszarze Rzplitej,— w prasie, w publicystyce, w przemówieniach sejmowych, w okólnikach ministerjalnych i korespondencji urzędowej, ba—nawet w ustawach i rozporządzeniach rządowych; na domiar zaś złego zjawiło się mnóstwo neologizmów, Bóg wie jakiego pochodzenia, skwapliwie i bezkrytycznie przez ogół społeczeństwa stosowanych.

Aczkolwiek z uznaniem czytamy każdy artyku w sprawie czystości języka, mniemamy, że przed zwró ceniem się przeciwko błędom — bądź dzielnicowym, bądź popełnianym przez pewne grupy lub jednostki, nie mające pretensyj do wykształcenia „literackiego“,— należałoby przedewszystkiem podnieść głośny protest przeciwko błędom rozpowszechnionym obecnie w całej Polsce tak dalece, że spotykamy je nawet w pismach najznakomitszych publicystów, nawet w przemówieniach najwybitniejszych mówców. Kilka takich błędów „nagminnych“, t. j. szerzących się epidemicznie w ostatnich czasach, pozwolimy sobie tutaj dla przykładu wymienić.

1) Zamiast wyrazów wyzyskać, wyzyskiwać, wchodzą niemal w powszechne użycie wyrazy, nieegzystujące w języku polskim: wykorzystać i wykorzystywać; czas teraźniejszy od tych czasowników brzmi w języku nowo-polskim: wykorzystuje. Na obronę tego szkaradnego neologizmu przytaczany bywa argument, że czasownik wyzyskać, przywodzi na myśl rzeczownik wyzysk, mający znaczenie ujemne, podcas gdy w słowie wykorzstać (od rzeczownika korzyść) nio odczuwa się tego wyraźnie ujemnogo znaczenia. Należy na to odpowiedzieć, że wyraz zysk jest sam przez się równie obojętny pod względem etycznym, jak korzyść; różnią się natomiast pod tym względem rzeczowniki pochodne: wyzysk i wyzyskanie; można tedy mówić o chwalebnem wyzyskaniu czasu, miejsca, lub sprzyjających okoliczności, a o niegodziwym wyzysku ze strony paskarza lub lichwiarza. Słownik polski zna czasowniki: korzystać i skorzystać, oraz zyskać i uzyskać, pozyskać i wyzyskać wraz z odpowiedniemi rzeczownikami, ale wyrazów wykorzystać i wykorzystanie nie zna (jest to przekład niemieckiego *ausnutzen*).

2) Równą niemal popularność zdobyły w czasach powojennych dwa inne potworki językowe bardzo podejrzanego pochodzenia: w międzyczasie i w czasokresie (zapewne tłumaczenie wyrażeń niemieckich: *in der Zwischenzeit, in der Zeitperiode*. Skoro niema rzeczowników międzyczas i czasokres, to oczywiście nie można ich używać w 7-ym przypadku. Zamiast w międzyczasie, należy (stosownie do okoliczności) wyrażać się: tymczasem, przez ten czas, od tego czasu, w ciągu tego czasu i t. p. zamiast w czasokresie—w okresie czasu.

Upowszechniło się też w ostatnich kilkunastu latach używanie wyrazów zastępca, zastępstwo i zastępować w zupełnie fałszywem znaczeniu,— prawdopodobnie przez mylne tłumaczenie czasownika niemieckiego *vertreten*, mającego znaczenie dwojakie: zastępować (rzeczownik *Stellvertreter*) i występować w czyjemś imieniu (*Vertreter*). Otóż w języku polskim pomienione wyrazy mają tylko jedno znaczenie,—to, które odpowiada niemieckiemu *Stellvertreter*, mianowicie: zajęcie na pewien czas czyjegoś miejsca, wykonywanie za kogoś nieobecnego jego czynności, używanie czegoś, zamiast czego innego. Tak n. p. nieobecnego ministra może w danym wypadku zastąpić wiceminister, dyrektora banku—wicedyrektor, adwokata— jego pomocnik lub kolega, profesora — jego asystent. Można też powiedzieć, ze maszyny zastępują pracę rąk ludzkich, że wielu ludziom margaryna zastępuje masło; można stwierdzić, że (w pewnem ugrupowaniu państw) jakieś mocarstwo zastąpiło inne mocarstwo, jakaś instytucja inną instytucję, jakaś teorja inną teorję; ale nie mogą osoby materjalne zastępować osób prawnych lub pojęć abstrakcyjnych. A więc błędem nie do darowania jest n. p. wyrażenie, że na jakimś kongresie „Polskę zastępował pan A“, gdyż Polski nietylko pan A., ale (w naszem przekonaniu) nic na świecie zastąpić nie może; conajmniej niewłaściwie brzmi wyrażenie (n. p. w sprawozdaniu z procesu między małżonkami), że adwokat N. „zastępował męża“; a już stanowczo fatalne robi wrażenie, gdy się czyta w kronice sądowej, że „mecenas X zastępował złodzieja“.

Należy w tych i tym podobnych wypadkach pisać: „Delegatem (przedstawicielem, pełnomocnikiem) Polski (lub rządu polskiego) był p. A."—„sztukę polską reprezentowali artyści B, C i D", — „z ramienia kupiectwa warszawskiego przybyli lub występowali pp. H. i J.", — „w imieniu (albo ze strony) powoda lub pozwanego stawał adwokat K.", — „oskarzonego bronił adwokat L.", „wyrazicielem pewnych zasad lub pewnej teorji był prof. N." i t. d. Język nasz jest tak bogaty, że na wszystko znajdzie się właściwe wyrażenie.

FRANCISZEK BRZEZIŃSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Mobilizacja sił międzynarodowych. — Zniknięcie gen. Zagórskiego. — Mowa kaliska.

SACCO i Vanzetti—te dwa nazwiska od kilku miesięcy pojawiają się codziennie na szpaltach dzienników wszystkich części świata. Ci dwaj anarchiści, skazani wyrokiem sądu amerykańskiego za morderstwo, posiadają—jak się okazuje—niesłychanie możnych protektorów, skoro przeciwko wykonaniu na nich wyroku śmierci udało się zorganizować „żywiołowe manifestacje" i „protesty" na obu półkulach. Niezwykle czynny udział biorą wszędzie w tej akcji zorganizowani komuniści, którzy tym razem są do głębi sumienia oburzeni możliwością „stracenia dwóch niewinnych ludzi". Tramwajarze i kierowcy autobusów w Paryżu tak dalece przejęci są stronniczością wymiaru sprawiedliwości w Ameryce, że urządzają strajk demonstrancyjny na znak protestu przeciwko wyrokowi sądów amerykańskich w tej sprawie. Masońska „Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela" ogłasza płomienny protest, na liście protestujących znaleźć można, między innemi, nazwisko p. Curie-Skłodowskiej, która—o ile pamięć nie myli—nie uczuwała n. p. potrzeby publicznego wypowiedzenia się w sprawie zamordowania ks. Budkiewicza. Aby dowieść niewinności skazanych na śmierć anarchistów, przyjaciele ich urządzają... zamachy, przyczem wskutek wybuchów bomb w Nowym Yorku i w Bazylei dziesiątki osób odnoszą liczne i ciężkie rany. Nakoniec akcja ta — robiąca wrażenie próbnej mobilizacji zorganizowanych sił międzynarodowych — odnosi skutek. Wykonanie wyroku zostaje wstrzymane, a sprawa raz jeszcze przechodzi pod rozpatrzenie Sądu Najwyższego.

Właśnie w tym czasie, gdy obrona Sacca i Vanzettiego całkowicie zaabsorbowała „najszlachetniejsze umysły świata" (wyrażenie „Głosu Prawdy"), wszystkich uczciwych Polaków do głębi wstrząsnął skandaliczny fakt tajemniczego zniknięcia gen. Zagórskiego. Generał ten, wierny przysiędze żołnierskiej w maju roku ubiegłego, następnie więziony w Wilnie przez piętnaście miesięcy bez podania mu aktu oskarżenia, w ostatnich dniach został uwolniony z więzienia i... zginął bez wieści. Władze wojskowe nie ogłosiły dotychczas w tej sprawie żadnego wyjaśnienia.

Dnia 6 sierpnia na zjeździe b. legjonistów w Kaliszu premjer Piłsudski wygłosił przemówienie, w którem oświadczył między innemi:

„Widziałem starania ustawiczne, aby agentury obce, płatne, były możliwie na górze państwa. Szły one krok w krok obok mnie, jako naczelnika Państwa. Widziałem to i nieraz uciekałem od moich najbliższych pomocników ze swemi najbliższemi zamiarami do odległego pokoju, aby ich nie wydać na rozszarpanie obcym. Nigdy nie byłem pewien, że gdy piszę rozkaz — on będzie czytany prędzej w biurach wszystkich obcych państw, niż u moich podwładnych. Nie byłem nigdy pewny, czy taki lub inny mój zamiar polityczny nie będzie natychmiast skontrolowany przez agentury państw obcych z taką siłą i pewnością, że będę musiał wyrzec się swego politycznego zamiaru."

Oskarżenie takie musi zgrozą przejąć społeczeństwo, zwłaszcza skoro wygłasza je szef rządu w publicznem oświadczeniu. A przytem, jakże straszny, beznadziejny pesymizm wieje z tych słów człowieka, który przez zamach stanu zdobył sobie w Państwie pełnię władzy, a w taki sposób wypowiada się o wartości moralnej swych „najbliższych pomocników". Czyż może być przyznanie się bardziej bolesne?..

J. R.

NAUKA I LITERATURA

DWA OBLICZA POETYCKIE

I.

POWIEDZIAŁ Izaak Walton, poeta angielski z w. 17-go, a jednocześnie słynny autor świętym zapałem tchnącego „Rybaka doskonałego", że sztuka rybacka nie jest byle czem i że wymaga od człowieka powołania — jak poezja. Te, nieco groteskowo brzmiące słowa przyszły mi na myśl, gdym czytał księgę „przygód łowieckich" głośnego poety Juljana Ejsmonda: „Nosił wilk razy kilka..."*) I pomyślałem o autorze-oto przykład człowieka urodzonego poetą i łowcą. I jeżeli krytykowi literackiemu trudno wyrokować. czy pisarz jest jednym i drugim w równym stopniu doskonałości — stwierdzić przecie może w tym pisarzu harmonję jednego i drugiego. Znaczy to, że pasja łowiecka, ściślej: myśliwska, rodowa czy atawistyczna, dokumentowana trofeami, otrzymuje wyraz pisarski w sposobie, który, świadcząc o talencie poety, jest zarazem pełnym dumy okrzykiem myśliwca. „Myśliwskie serce", „myśliwska dusza" Ejsmonda, któremi tak chlubi się, zdolne są poddać się zalewowi niewymownej radości powodzenia, umieją odczuć „beznadziejną rozpacz" zawodu. We wspomnieniach tych niejedno znajdzie dla siebie strzelec, a także i przyrodnik, i krajoznawca. Nadto jednak—Ejsmonda entuzjazm, zżycie się z naturą, uczucie piękna, znajdują sobie słowo, które naprawdę śpiewa i pała.

„Jest taka piękna chwila na wiosnę, gdy cały świat nadrzeczny zdaje się być zaczarowaną krainą ze srebra i złota. Wszystko jest srebrne i złote — jak w bajce... Uśmiecha się woda wiosenna. Pachną łozy.., Brzęczą pszczoły...'

Lub gdzieindziej:

„Pod gwiezdne, zimne niebo płynie cudownie oddana, ludzkim głosom najboleśniejsza ze skarg żywego stworzenia na ziemi — wycie wilka. Płynie, napełnia las mroźny, łamie się spazmem, kończy pomrukiem..."

Widzimy, że potrafi Ejsmond szarpnąć w czytelniku nerwem poezji.—Język jego jest bogaty a niewymyślny, tok posuwisty, całość, chce się rzec, bujna

Nie cierpiał Ejsmond nigdy na nadmiar filozofowania, „nie chorował nigdy na metafizykę". W jego życiowej filozofji jest trzeźwość obserwacji, pogoda i humor — pierwiastki, które znajdujemy i tutaj. A potrzebę oparcia o trwałą opokę zaspakaja mu stałe przekonanie: „By nie zbłądzić, trzeba patrzeć w niebo..." Romantyk niemiecki powiedziałby, że ten poeta-łowca jest „zbyt mało hieroglificzny", za mało przeniknięty poczuciem grozy zasieków tajemniczości.I dla romantyka tego Ejsmond byłby... znamienitszym myśliwym, niż poetą. Notuję to jednak bez najmniejszej złośliwości. Zwłaszcza omawiana książka pełna jest uroku i godna czytania, niesłusznie w cień nieco usunięta przez sławne „Bajki".

*) Bibljoteka Dzieł Wyborowych.

Podobno tłumaczona już jest przez jednego z niemieckich pisarzy myśliwskich. By dobrze dokonać jej przekładu, trzeba mieć i polot poetycki. W tych słowach mieści się jej charakterystyka i pochwała.

II.

Leży też przedemną *„Furia Divina“*. „Sen o narodzinach“, dramat Tomasza Strzembosza*), gdzie wszystko tchnie tęsknotą ku niepoznawalnemu.

„Za nic mi są ziemskie plony.
Tragicznej zbywszy zasłony
w zaświaty pełnej miłości
wzrok obróciłem stęskniony...“

Z nazwiskiem autora spotkałem się już w r. 1921, gdym w „Nowym przeglądzie literatury i sztuki“, wychodzącym podówczas pod kierownictwem Leopolda Staffa, odczytał niezwykłej piękności symboliczny djalog Strzembosza, p. t. Pielgrzymi. Mowa tam była o dwóch pątnikach z różnych świata krańców, którzy ostatecznie spotykają się na jednym gościńcu, prowadzącym ku rzeczom wiecznym. Pamiętam, jak mocne wrażenie uczyniła na mnie głębia utworu, prostota, a jednocześnie swobodny kunszt jego formy. — I oto po szeregu lat wystąpił poeta znów na widownię, a książką swą zaświadczył, że pozostał zawsze człowiekiem zaklętego koła problemów pozazmysłowych, pozaówczesności, o której się mówi.

„Niech zwierz-zamieszka w twej samotni,
w łożu, co słane skalnym mchem,
gdy sam jak ptacy odtąd lotni,
nie spoczniesz nigdzie pewnym snem“

— Tak czytamy w prologu, będącym właściwie kwintencją czy skondensowaniem treści. Sam dramat (współczesny, przeważnie prozą) mówi o rzeźbiarzu, który, niby Pigmalion, ożywić pragnie stworzony przez siebie posąg uskrzydlonego.

„Wzdłuż nieprzerwanym rzędem źrenic
patrzają ściany w jego lico,
gdy tak pół-prorok, pół-szaleniec,
ze swą przechodzi tajemnicą...“

Czy spełnia się jego oczekiwanie, o tem rozwodzić się tu nie będę, w filozoficznej konstrukcji dzieła rzecz to drugorzędna. Na kanwie akcji rozsnuwa Strzębosz swój sen o żarliwem ukochaniu ideału. Nowe wartości ściągane są na ziemlę natchnieniem i wytrwaniem, wiarą i miłością, dumą i pokorą. Jak sugestywnie zdolny jest autor oddać całą potworność walki duchowej, przekonywają n.p. te słowa bohatera:

„Szedłem drogą bardzo skalistą, w białe dłonie klaskali anieli i mówili: „zejdź z drogi, która cię rani“.... Przedemną biegł upiór obrzydły, do wytrwania mnie gestem zachęcał, a znając szpetotę swoją, drżał bym nie uległ aniołom...“

Łukasz pada, ale pada w chwale, a święty jego szał rozpala się drogowskazem pracy dla innych. W scenie ostatniej jawi się Mąż Boży i mówi do chłopięcia:

— Wstań, a idź! O w o z d u s z y l u d z k i e j narodził się Pan!
— Rozweseliłeś serce moje, lecz powiedz: kędyż Go znajdę?
— P r z e d t o b ą d r o g a j e s t t w o j a.
— Owo wstałem i pójdę i innym poniosę Nowinę.

Trzeba wpatrzeć się w cel najwyższy i umieć przestąpić próg. Albowiem — wracamy tu znowu do prologu — :

„Przemijające minąć musi......
Darmo o trwały byt się kusi,
K o m u w i e c z n o ś c i o b c y b r z e g...“

Poemat dramatyczny Strzembosza jest bardzo pięknym, namiętnym, brzmiącym boleścią, a przecie optymistycznym głosem: *Excelsior*.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

*) Dom Książki Polskiej.

KSIĄŻKA FRANCUSKA O POLSCE

P. KAZIMIERZ Smogorzewski, b. korespondent paryski „Gazety Warszawskiej“ później redaktor „Rzeczypospolitej“, w tym okresie gdy przeszła w posiadanie P. Korfantego, zajmuje dziś w prasie i publicystyce francuskiej wyraźne miejsce specjalisty od rzeczy polskich. Artykuły jego widzi się w *„Journal du Debats“*, w *„Correspondant“*, w *„Monde Slave“*, a świeżo wyszła jego książka *„La Pologne Restaurée“* w Paryżu u Gebethnera i Wolfa, z przedmową znanego publicysty p. Augusta Gauvaina, zawierająca 22 arkusze druku, 22 portrety i 19 mapek.

Działalność ta p. Smogorzewskiego, bardzo pożyteczna i bardzo pracowita, przerasta obecnie całą działalność polskiej propagandy oficjalnej w Paryżu, poza sferą której się znajduje i w której udziału nie bierze, co może jednak tembardziej na pożytek jego wychodzi. Jest ona doskonałym typem propagandy, właśnie dlatego, że wcale propagandą nie jest, wartość jej stanowi ciekawa i obszerna informacja, dziennikarskie poczucie aktualności, oparte o reporterską praktykę, bez której trudno już sobie dziś dziennikarza wyobrazić i znajomość polskiego życia, którego z taką dokładnością nie może przeniknąć żaden cudzoziemiec.

Mimo jednak swego nieoficjalnego charakteru Smogorzewski w ostatniej swej książce trochę zanadto jest oficjalny, śmiała jego zazwyczaj ręka trzyma pióro zanadto miękko, nie pozwalając mu narysować silniej konturów, przeprowadzić różnic i zachować odpowiednich proporcyj w charakterystyce różnych mężów stanu. A nieśmiałość zupełnie zbyteczna, można to było zrobić, nie zmieniając zasadniczego tonu książki i nie psując jej koncepcji. Nie mści się to przy takich charakterystukach jak n.p. p. Aleksandra Skrzyńskiego: „uprzejmy negocjator, broniący interesów swego kraju bez surowości i ostrości“... „zręczny i słodki“ ale mści się tam, gdzie nie można sięgać po formułę do reklam dla fryzjerskich kosmetyków. Mści się np. przy Dmowskim. „Apelował do rozumu raczej, niż do uczucia“. Do uczucia apelował także, zapoznawać uczucia w Dmowskim to nie znać i nie rozumieć go zupełnie. Zacytujmy prześliczny ustęp z jego książki „Polityka Polska“, na którą p. Smogorzewski przecież się powołuje: „Są uczucia i uczucia. Ileż to ludzi w trzech pokoleniach słuchało z rozrzewnieniem patrjotycznem pieśni: Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf, albo skon. Co do mnie, to te słowa obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tem, że Polska może skonać jest zbrodnią“.

Nie należy do szczęśliwych zaklasyfikowanie Dmowskiego i obozu, do którego należy i który wyobraża, do oportunistów. (str. 25.) Smogorzewski postawił w jednym rzędzie, nie czując komicznego wrażenia, jakie to sprawia Dmowskiego, Paderewskiego, Piłsudskiego i wiedeńską ekscelencje z Krakowa p. Leopolda Jaworskiego Ich portrety następują jeden po drugim. Skoro Piłsudski jest rewolucyjnym patrjotą, skoro Jaworski jest liberałem odmładzającym przez swe wysokie wartotości intelektualne całą arystokrację wyniosłą (np. w stosunku do Habsburgów!) i bogatą (str. 29), to Dmowski dla odróżnienia musiał zostać „oportunistą“. Nie będziemy spierać się o to z p. Smogorzewskim, który używał takich farb jakie miał na swej palecie, a na portret Dmowskiego farb mu nie stało.

Gorsze jest zastąpienie fotografji posła Witosa jego karykaturą (str. 302). ołówka p. Skwierczyńskiego. W dzisiejszym zwłaszcza okresie szkodzi to dobremu smakowi książki.

Pozatem widoczna jest staranność niepominięcia nikogo, kto w czemkolwiek zaważył w kilkoletniej historji ostatnich lat, opuszczani zaś są natomiast ci, o których głośno nieraz bywa w bankietowych sprawozdaniach i których często widzi się na cudacznych fotografjach, ale o których mimo ich dygnitarstw, w książce o życiu publicznem traktującej, nic na serjo powiedzieć się nie da.

Książka pisana jest metodą dziennikarską, ale bez sensacji.

S. S.

EGIPT

W szeregu wydawnictw Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich ukazał się ostatnio „Egipt", Ferdynanda Goetla. (Str. 234). Książkę tę, pięknie wydaną i ozdobioną licznemi ilustracjami, wezmą z przyjemnością do rąk miłośnicy literatury podróżniczej. Egiptem u nas niewiele się zajmowano, a szeroki ogół poznawał ojczyznę najstarszej cywilizacji w świecie z egipskich powieści Ebersa i ze znakomitego „Faraona" Bolesława Prusa. Ten ostatni zwłaszcza żywo nam się przypomniał, podczas czytania książki F. Goetla. Prus nigdy w Egipcie niebył, poznawał go z książek, (których mu udzielał J. Ochorowicz), lecz całą jego cywilizację, jej ducha, tak odczuł i pojął znakomicie, że stworzył dzieło pełne prawdy, mądrości oraz wdzięku. Prus stał pod urokiem zdumiewającej cywilizacji starożytnego Egiptu, pomimo, że zdawał sobie doskonalę sprawę z tych lub innych ujemych stron jego ustroju państwowego, urządzeń społecznych i t. p. Jakże odmiennym jest stosunek p. Goetla do tego samego. Ferdynandowi Goetlowi, uczestniczącemu w r. 1925 w Kongresie geograficznym w charakterze nie uczonego lecz literata, niczem starożytny Egipt niepotrafił zaimponować. On tu panuje nad wszystkiem, z góry wie, co należy sądzić o wszelkich osobliwościach starożytnego Egiptu, wszystko traktuje protekcjonalnie, najczęściej swawolnie, nierzadko szyderczo: Ramzesów i Setosów klepie przyjacielsko po ramieniu, dzieła ich wydają się mu częstokroć absurdalnymi, nudzą go swą jednostajnością wzniesione przez nich budowle (zupełnie tak jak młodego Ramzesa w powieści Prusa), a z wszelkich czczonych Apisów, oczywiście, drwi na funty. Pośmiertny rytuał Egipcjan (mumje) nazywa autor „absurdalnym" (str. 30), dążność przedłużania życia materjalnego poza godziną śmierci, jest dla niego również „absurdalną" (str. 107), co zaś do ich „arcywysokiego pojęcia o nieśmiertelności", to w tem nic niema zagadkowego, gdy chodzi bowiem o wierzenia metafizyczne Egipcjan, autor doszedł do wniosku, że „Egipt powiedział wszystko, co wiedział".

Nie wiemy, czy nasi egiptolodzy (jeśli ich mamy) podzielą opinję Ferdynanda Goetla, w każdym razie czytelnik z przyjemnością dowie się, że oto rodak do wiekopomnych odkryć rozmaitych Champolion'ów, Mariette'ów. Maspero i t. p. badaczy Egiptu, dorzucił swoje, które rzuca odmienne światło na poglądy utarte, chociaż wątpliwe.

A wszystko to posiada swoisty wdzięk, powiedziane jest bowiem przez autora z niezachwianą pewnością siebie, ze swadą i rozmachem, niekiedy wesoło i dowcipnie, w nastroju duszy, pełnej swobody i uciechy, rzekłbyś — studenta na wakacjach.

Autor kapitalnej pracy „Przez płonący Wschód" jest, jak wiadomo, nietylko wybornym pisarzem, lecz i bystrym, doświadczonym obserwatorem (zwłasza Wschodu), wszystkie więc jego wrażenia, uwagi i spostrzeżenia, dotyczące współczesnego Egiptu, odznaczają się barwą żywą i świeżością, trafnie i oryginalnie odtwarzają rzeczywistość opisywaną.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W dniu 31 lipca r. b. odbyło się w Bydgoszczy uroczyste odsłonięcie pomnika Henryka Sienkiewicza. Pierwszy to pomnik znakomitego twórcy „Krzyżaków", w tym charakterze właśnie uczczonego przez Wielkopolan. Pomnik wykonał znakomity rzeźbiarz prof. Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, Konstanty Laszczka. Na otwarciu obecny był Prezydent Rzplitej Mościcki. Mowę u stóp pomnika wygłosił Józef Weyssenhoff. „Gazeta Bydgoska" zaznaczyła ten dzień specjalnem, poświęconem Sienkiewiczowi wydaniem. Na czele numeru Z. Wasilewskiego „Naród Sienkiewiczowi", potem A. Świętochowskiego „Pisarz Narodu", dalej artykuły: J. Birkenmajera, ks. Cyraskiego (o „Wirach"), K. Kalinowskiego, Adama Grzymały Siedleckiego (Język Sienkiewicza) i wiele innych.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie zakończyło w r. b. 20 lat swego istnienia. Powstało w r. 1907, a więc w okresie, kiedy, po ustaniu popowstaniowego teroru antypolskiego na naszych ziemiach wschodnich, wolno tam było w pewnej mierze tworzyć na nowo życie polskie. „Zgrupowało ono „przyjaciół nauk", t. j. ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z doniosłości narodowej celu, które sobie Tow. stawiało, a więc „rozwoju nauk, umiejętności i literatury w języku polskim, pielęgnowanie sztuki, w szczególności zaś badania kraju". Wśród tych „przyjaciół" byli i tacy, którzy sami w wolnych od zajęć chwilach naukę uprawiali.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w kraju, systematycznie z inteligencji polskiej ogałacanym, w kraju, w którym nie było urzędników i nauczycieli szkół publicznych polaków, miało trudne warunki bytu, ale opromienione było ideą patrjotyczną. Toteż znalazło ono pewne poparcie, już po kilku latach miało poważną bibljotekę i pokaźne zbiory archiwalno-muzealne, wydawało też roczniki z poważnemi przyczynkami naukowemi. Stan jego rezultatów był o tyle dobry, że już po trzech latach istnienia zaczęło wznosić sobie własną siedzibę.

Przyszła wojna, okupacje wszelkiego rodzaju, wreszcie Wilno znalazło się w niepodległej Polsce i stało się ogniskiem polskich urzędów i szkół z uniwersytetem włącznie. W kraju znaleźli się nie tylko „przyjaciele nauk" ale i uczeni badacze. Odpowiednio do tego uległa zmianie i organizacja Towarzystwa. Przy Tow. istniały „wydziały", składające się jedynie z ludzi pracujących w dziedzinie nauki. Wydziałów jest trzy: 1) filozofji, literatury i sztuki, 2) nauk matematyczno-przyrodniczych i lekarskich, i 3) historji i filozofji i nauk prawno-społecznych. Referaty na posiedzeniach wydziałów i ich wydawnictwa stoją na wysokim poziomie naukowym.

Natomiast pod względem t. zw. finansowym Tow. ostatniemi laty stoi źle. Zubożałe dziś społeczeństwo kresowe, mniej dać ono może Tow. składek i ofiar, niż przed wojną. W 1926 r. zaledwie 170 osób zapłaciło składki członkowskie, bo i 10 zł. rocznie jest obecnie kwotą dość znaczną. Gdyby nie subsydja ministerstwa, bardzo zresztą skromne (około 21.000 zł.), Towarz. musiałoby całkowicie zawiesić działalność wydawniczą. Własne środki nie starczą na opłacenie rat zaciągniętej na budowę gmachu pożyczki. Zbiory dość już pokaźne (w końcu r. 1926 bibljoteka liczyła 29523 dzieł skatologowanych) ale obecnie zwiększają się li tylko w drodze danin, lub zamiany wydawnictw, na kupno książek w r. 1926 wydano zaledwie 32 zł.

Wszyscy, rozumiejący znaczenie każdej placówki polskiej na Kresach zarówno społecznej jak i naukowej, powinniby o Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Wilnie pamiętać i zasilać jego kasę i zbiory. Niestety o tem pamiętać nie chcieli autorzy i wydawcy.

*

D. 23 i 28 września w Warszawie, w gmachu głównym uniwersytetu odbywać się będzie 2-gi polski zjazd filozoficzny, Prace zjazdu podzielono na 4 sekcje: sekcja A) zajmie się historją filozofji, B) metafizyką i epistomologją, C) filozofją przyrodoznawstwa i D) psychologją.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do niedawna nauka polska ograniczała się do stwierdzania zależności literatury złotego wieku od wpływów literatury klasycznej. W dobie renesansu i baroku były wieczyście piękne utwory dziejopisów i poetów greckich i rzymskich pierwowzorem i zwierciadłem natchnienia. Zdawało się, że u nas i za granicą, podobnie jak nauka rozwijała się wyłącznie w komentowaniu starożytnych filozofów, tak i poezja szła niemal niewolniczo śladem klasyków.

Nowe czasy rozszerzają krąg badań krytycznych na rozpatrzenie stosunku tej twórczości do twórczości jej bliższej, współczesnej. Przodujące znaczenie wpływu Dantego na pracę

następnych pokoleń aż po romantyzm coraz wyraźniej bywa wyświetlane. Studjum Mieczysława Brahmera p. t. „Petrarkizm w poezji polskiej w XVI wieku“ (Kraków 1927) wykazuje ogólnie wpływ utworów Petrarki na poezję w Europie a w szczególności w Polsce. Wszechstronna erudycja autora otwiera dalekie horyzonty dla poznania przemożnej, narodowej mocy literatury włoskiej która wsparta o przeszłość starożytnej sztuki kształciła ówczesną, obcą literaturę piękną, narzucała jej swe formy i pobudziła talenty do nowych wzruszeń. Oblicza artystycznych natchnień poetów naszego złotego wieku, Sępa Szarzyńskiego, Janickiego, Kochanowskiego i innych, dzięki podanemu w książce materjałowi i ścisłości analizy zyskują na wyrazistości.

*

Dwa ostatnie tomy Kornela Makuszyńskiego powitają chętnie liczne koła czytelników tego autora. „Ponure igraszki“ i „O duchach djabłach i kobietach“ (w wydaniu nowem uzupełnionem) obracają się w zakresie ulubionych motywów tego autora, który jak sam wyznaje, gdera i śmieje się z tego co kocha, nie nadając zresztą szczególnej wagi ani temu co ośmiesza ani temu czego broni półżartem. Co innego, jeśli pisze serjo. Zdobywa się wówczas na piękną retorykę, jak w „Purpurowej księdze“ i „Orlętach lwowskich“, albo w sylwetce „Pani Marusi“ małżonki Jana Kasprowicza. Wymowny „śmiech przez łzy“ brzmi w publicystycznym szkicu „*Del tintero largo*“ o epidemji kalumnij i oszczerstw, o walce atramentem, nieszlachetnej i poniżającej prasę, wreszcie o urzędowości smutku i depresji w Polsce, o banicji zdrowego humoru z widowni publicznej, o wielu rzeczach, o których chyba tylko przy szklanicy dobrego wina autor zapomina—miłośnik słońca i beztroski. Gorzej, gdy pisze o ukazywaniu się duchów zmaterjalizowanych, o konfidencji z djabłem, którego żadne tortury nie mogły zniweczyć, ale przyznanie się autorki, że pisze powieść, doprowadziło do grobu i szczęśliwego powrotu do piekła. Te utwory nie leżą, jak się zdaje, w kręgu motywów rzetelnie wdzięcznych dla talentu Makuszyńskiego.

*

Literatura nasza, poświęcona sprawom historji i hodowli konia w Polsce, zawiera szereg cennych, fachowych dzieł Spirydjona, Staszewskiego, Bojanowskiego, Czapskiego, Ochorowicza, Sumińskiego i Piechowskiego. Wydawnictwa bieżące, czy to w kwestji sportu, czy poprawy rasy konia roboczego, dobrze się zasługują pracy nad odrodzeniem tej, zniszczonej przez wojnę, gałęzi gospodarstwa.

Książka p. Janusza Wilatowskiego p. t. „Koń w życiu polskiem omawia znaczenie konia w dziejach obrony granic Polski w minionych czasach i przedstawia różne typy tematów o koniu w polskiej literaturze historycznej, w powieści i poezji. Szkoda, że szkic napisany został bez metody rozplanowania materjału, pobieżnie i nieco chaotycznie. Niemniej może będzie dla autora otuchą do przedsięwzięcia obszerniejszego i bardziej pogłębionego studjum w tym przedmiocie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Etudes et milieux litteraires*“ (Grasset édit.). W tem ciekawem studjum p. Leon Daudet broni z właściwym sobie talentem i werwą zasad humanizmu, jako zawsze ożywczego i twórczego źródła literackiego. Zdaniem p. Daudet'a prawdziwa umysłowość europejska nie może się obejść bez znajomości greki i łaciny. Nauka tych starożytnych języków jest konieczną dyscypliną dla tych wszystkich, którzy pragną pisać i myśleć w sposób jasny, objąć szerokie horyzonty i posiadać poczucie trwałego piękna językowego. Genjusz bowiem grecko-łaciński wzbudza w człowieku pragnienie wartości nieprzemijających. Oprócz sądów ogólnej natury, książka ta zawiera ocenę najrozmaitszych pisarzy francuskich i obcych jak n. p. Goethego. Z francuskich p. Daudet na ogromnym piedestale stawia Ronsard'a, Mistral'a, Maurras'a, ale jakżeż ostro sądzi innych. Ostatni rozdział książki odmalowuje Salony i środowiska literackie począwszy od 1880 r aż do doby współczesnej.

*

Paweł Morand, jeden z najciekawszych młodych pisarzy francuskich po długim pobycie na Wschodzie wydaje nową powieść p. t. „*Bouddha vivant*“. Problemat Europy i Azji jest w niej przedstawiony z dużą znajomością tych dwóch światów, ich umysłowości, zasadniczo różnych wobec zagadnień życiowych. Jâli, następca tronu Karastry, pod wpływem rozmów ze swoim europejskim szoferem Renaud, który *nota bene* jest byłym „*camelot du Roi*“ opuszcza nietylko dwór ojców, ale i Azję, udając się do Londynu. Renaud jednakowoż umiera. Wtedy to młody Azjata zapoznając się z życiem Europy postanawia ją przez szerzenie budhaizmu wybawić od zmaterjalizowania. Jâli wyrzeka się bogactw i przeniósłszy się do Paryża, żyje z jałmużny. Pada jednak ofiara młodej Amerykanki, w której budzi się powołanie do budhaizmu, a potem do samego azjatyckiego księcia, chce go nawet poślubić, ale skoro Jâli dla niej rzuci Europę, Rosemary rozmyśli się. Po tych wszystkich perypetjach, następca tronu Karastry powraca do swego królestwa, gdzie obejmuje panowanie z głębokiem przekonaniem o konieczności utrzymania wszystkich jak najstarszych tradycyj.

*

Antoine, twórca t. zw. „*Theatre Libre*“ we Francji, który był dyrektorem różnych paryskich teatrów i dzisiaj jeszcze pisuje kroniki dramatyczne, wydaje w „*Revue Hebdomadaire*“ „*Mes Souvenirs*“. Pamiętniki te są ogromnie interesującą i pouczającą historją sceny paryskiej i jej rozwoju. Kreśli on w nich również cały szereg sylwetek pisarzy, aktorek, odtwarzając równocześnie atmosferę tych środowisk.

*

Pojawił się nowy przyczynek do literatury szekspirowskiej, noszący tytuł „*The Falstaff Saga*“. Autor, John Dawtrey, stara się w nim udowodnić, że Shakespeare wzorował swą nieśmiertelną postać komiczną na znanym w dobie elżbietańskiej awanturniku, kapitanie Mikołaju Dawtrey, który w latach 1580 — 1590 cieszył się łaskami dworu i był nader popularny na bruku londyńskim. Autor studjum opisuje szczegółowo przygody kapitana Dawtrey i podkreśla rozmaite cechy charakteru, które zbliżają go do Falstaffa. Nie wiadomo, czy teza p. Johna Dawtrey znajdzie uznanie w oczach powag szekspirologji — w każdym razie książkę jego czyta się z żywem zajęciem, a dowodzenie przeprowadzone jest w sposób umiejętny i przekonywający,

*

Wyszedł czwarty tom dzieła Dawid'a Alec'a Wilson'a o Tomaszu Carlyle. Tom ten (całość planowana jest na sześć tomów) obejmuje szczytowy okres twórczości Carlyle'a („*Carlyle at his zenith 1848 — 1853*“). Książka D. A. Wilsona daje nietylko szczegółowe przedstawienie życia i dzieł Cartyle'a, ale odmalowuje także środowisko, w którem przebywał, szkicuje sylwety znajomych pisarza, stara się jaknajwszechstronniej odtworzyć tło, na ktorem występował. Krytyka angielska powitała książkę D. A. Wilsona nader życzliwie.

*

Z literatury podróżniczej angielskiej wymienić wypada dwie książki, które świeżo pojawiły się na półkach księgarń londyńskich. Jedno z nich traktuje o Jawie, druga o Algierze. Tytuł pierwszej brzmi „*Peacocks and other stories of Java*“ autorką jej — Miss Vennette Herron. Autorka opowiada interesująco o życiu kolonji europejskiej na Jawie, wierzeniach ludowych, baśniach i poezji jawajskiej. R. V. C. Bodley w tomie p. n. „*Algeria from within*“ daje zajmujący wykład o geografji Algieru, cytuje interesujące dane statystyczne, zajmuje się rolą Algieru w imperjum rzymskiem. Pozatem R. V. C. Bodley odmalowuje żywo obyczaje ludności tybulczej, podkreśla przywiązanie do tradycji, rzuca szereg uwag na temat pojęcia miłości i małżeństwa u Arabów algierskich. Książka R. V. C. Rodley'a odbiega tonem i zawartością treściową od przeciętnych, banalnych książek podróżniczych.

*

Sir Arthur Conan Doyle, znany szeroko autor powieści sensacyjno-kryminalnych, obecnie jeden z filozofów spirytyzmu angielskiego (zagadnieniom spirytystycznym poświęcił kilka lat temu osobną książkę, w której opisuje niezawsze krytycznie rozmaite fenomeny z tej dziedziny) ogłosił nową powieść p. t. „*The casebook of Sherlock Holmes*“. Pojawienie się tej książki przyjmą zapewne liczni miłośnicy powieści Conana Doyle z wielkiem zadowoleniem.

*

„*Sigismondo Krasiński „Iridiono“. I rima versione italiana di Clotilde Garosci, introduzione di Cristina Agosci-Garosci, Publicazione della Sezione Romana dell' Associazione „Adamo Mickiewicz“. Roma 1926* Przekład ten obok tłumaczenia „Nieboskiej“, dokonanego przez p. Richard-Kulczycką, zaznajamia Włochów z zasadniczą linją twórczości Krasińskiego, dla którego już Mazzini żywił kult szczery. Wierny naogół i piękny, daje w czytaniu wrażenie oryginału. Bo też trudno sobie wyobrazić język, któryby bardziej odpowiadał koturnowemu stylowi poematu. I przedmowa i objaśnienia, któremi przekład został opatrzony, mówią o sumiennej znajomości opracowanego przedmiotu. W przedmowie skreśliła jej autorka biografję poety oraz przedstawiła genezę pomysłu Irydjona. Podkreśla ona nieścisłość, a nawet niesprawiedliwość w ocenie roli historycznej Rzymu lecz cel tej nieścisłości jasno dostrzega, rozumiejąc dobrze symbolizm utworu. Przekład zadedykowany został „Wodzowi Włoch, triumfatorowi nad nowym Massynissą w roku powrotu Krzyża do Kolosseum“.

*

„*Corriere d'Italia*“ umieścił z powodu uroczystości przewiezienia zwłok Słowackiego do Polski artykuł p. t. „*Giulio Slowacki, poeta dello spirito*“, pióra p. Egista de Andreisa. Tegoż autora artykuł „*Un grande Polacco*“, podał dziennik neapolitański „*Il Mezzogiorno*“.

ZMARLI

ROBERT DE FLERS

W DNIU 31 lipca umarł w Vittel bawiący tam na kuracji Robert de Flers. Śmierć jego okrywa żałobą nietylko Francuzów autentycznych, ale także wszystkich „Francuzów północy" i „Francuzów wschodu". We wszystkich bowiem „małych Paryżach" i „drugich Paryżach", ile ich tylko Europa liczy— pisarz ów był niemal równie popularny, jak w nadsekwańskiem mieście światłości. W Warszawie może nie do tego stopnia, co np. w Bukareszcie, gdzie istnieje ulica nazwana jego imieniem, ale i Warszawa kochała się w jego twórczości, którą znała wcale nieźle i każdą nową jego komedję przyjmowała entuzjastycznie. Dla komedjopisarzy naszych, podobnie jak dla paryskich był Robert de Flers mistrzem i wzorem. Starali się uczyć od niego sztuki pisania sztuk, a choć żaden z nich mu nie dorównał, to jednak niektórzy z nich (najlepsi) potrafili na owej nauce skorzystać nie mało.

Robert de Flers urodził się 25 listopada 1872 r. w Pont l'Eveque. Pełne jego nazwisko brzmi: Marja— Józef — Ludwik — Kamil — Robert Pellevé de la Motte Ango, markiz de Flers. Pochodził z rodziny normadzkiej tak starożytnej, że szlachtę wywodzącą się tylko od rycerzy krzyżowych mógłby był uważać za parwenjuszy. Prastare koniki z czasów Merowingów wspominają o pewnym rycerzu króla Clovis'owym imieniem Dagobert, który będąc chrzczonym przez św. Remy, zanurzył się w wodę tak głęboko, że nad powierzchnią sterczały tylko długie, zjeżone włosy. Stąd przydomek „Peillevé" przekształcony z czasem na Pellevé. Na paryskim Łuku Tryumfalnym wyryte jest nazwisko generała de Flers straconego na szafocie za czasów Terroru. Był on prastryjem ś. p. Roberta,

Przyszły autor „Króla" wychowywał się w liceum Condorcet. Następnie zdobył dyplom licencjata literatury i prawa. Po skończeniu szkół wyruszył w podróż na Wschód. Zwiedził Neapol, Ateny, Konstantynopol. Wróciwszy napisał książkę p. t. „Vers l'Orient", która odrazu została uwieńczona przez Akademję Francuską. Drugą jego książką był zbiorek nowel p. t. „Entre Coeur et Chaire". Trzecią „Aumone du Mensonge". Czwartą powieść dedykowana Anatolowi France'owi p. t. „La Courtisane Taia et son singe vert". Wyszła ona w r. 1896. W rok później de Flers napisał „Ilsée, princesse de Tripolis", której egzemplarz, jak wiemy z gazet, p. Barthou ofiarował przed paru tygodniami w imieniu francuskiej Rady Ministrów Rajmundowi Poincaré'mu.

Robert de Flers zanim zasłynął jako komedjopisarz zdobył już sobie poważną pozycję w paryskim świecie dziennikarskim. Debiutował w „Soleil". Następnie pisywał w „Liberte", później w „Figaro", potem w „Gaulois", wreszcie znowu powrócił do „Figaro" gdzie do końca życia był kierownikiem działu literackiego i recenzentem teatralnym.

Aczkolwiek dziennikarstwem zajmował się bynajmniej nie po dyletancku, lecz najzupełniej fachowo, to jednak nie miał głębszego zamiłowania do bieżącej publicystyki. Polityka w gruncie rzeczy go nudziła. Od najwcześniejszej młodości czuł pociąg do teatru (ożenił się z córką Wiktoryna Sardou) i najpełniej wielki jego talent wypowiedział się za pośrednictwem sceny.

Większość swoich utworów scenicznych napisał do spółki z nieodżałowanej pamięci Gastonem de Caillavetem (synem słynnej pani Arman de Cailliavet protektorki Anatola France'a), przyjacielem serdecznym, którego w dyskursie wygłoszonym podczas recepcji do Akademj- Francuskiej nazwał „mon plus que frére". Na wzór autorów nieśmiertelnej „Pięknej Heleny" Meilhac'a i Hale: vy'ego zaczęli dwaj przyjaciele od pisywania operetek „les Travaux d'Hercule", „le Sire de Vergy", „Monsieur de la Palice". Muzykę do ich tekstów dorabiał Klaudjusz Terrasse. Od operetek przeszli do krotochwil, od krotochwil zaś do komedji. Powstały: „le Sentiers de la Vertu", l'Ange du foyer", „Miquette et sa mère", „l'Amour veille", „l'Eventail", l'Ane de Buridan", „Papa", „Primerose", „la Belle aventure" wreszcie „Mr. Brotonneau" (napisany do spółki z Etienne Reyem) arcydzieło, które wszedłszy na repertuar Komedji Francuskiej, udowodniło światu, że autorowie „Osiołka" umieją nietylko rozśmieszać publiczność do rozpuku, ale także wzruszać do łez. Najtrwalszą jednak prawdopodobnie wartość posiadać będą dla historji literatury trzy komedje satyryczne: „le Roi", „le Bois sacré" i „l'Habit vert", odzwierciadlające z nieporównanie dowcipną a równocześnie wyrozumiałą ironją obyczajowość oficjalną i zakulisową Trzeciej Rzeczypospolitej.

W siedem lat po napisaniu „Zielonego fraka" de Flers został powołany do wykpionej tak kapitalnie przez siebie Akademji na fotel opróżniony przez śmierć markiza de Ségur. Było to w r. 1921, w sześć lat po zgonie Gastona de Caillaveta, ktory umarł w drugim roku światowej wojny. W mowach wygłoszonych na uroczystości recepcyjnej podkreślono wyraźnie, że w osobie Flersa uczczono również pamięć zmarłego jego współpracownika. On sam podkreślał to najwyraźniej i można było mniemać, że bez Caillaveta twórczość de Flersa osłabnie. Wbrew tym przewidywaniom „les Nouveaux messieurs", „le Retour", „le Docteur Miracle", „les Vignes de Seigneur", „Romance", „Ciboulette" — utwory napisane w przeciągu ostatnich kilku lat po większej części do spółki z Franciszkiem de Croisset'em okazały się nie mniej tęgie od dzieł poprzednich.

Po wybuchu wojny europejskiej Robert de Flers wstąpił do wojska jako ochotnik. Został przykomenderowany jako oficer łącznikowy do armji rumuńskiej. Żeby się dostać na swój posterunek, musiał odbyć długą i niebezpieczną podróż aeroplanem ponad frontami wojennemi. Rozkazy dzienne do armji cytowały go czterokrotnie. W jednym z nich czytamy wzmiankę: „złożył dowody odwagi, wytrwałości i poczucia obowiązkowości najszczytniejszej". Został odznaczony Krzyżem Wojennym z dwiema palmami. Otrzymał również Wielki Krzyż Korony Rumuńskiej.

Dobrze zasłużone zaszczyty, honory, odznaczenia sypały sie na niego przez całe życie, które było jednym ciągiem olśniewających sukcesów. Umarł w 55 roku życia w pełni rozkwitu talentu. Pozostawia po sobie sławę znakomitego pisarza, która niewątpliwie potrwa jeszcze długo. Dzieła Roberta de Flers nie starzeją się. Najwcześniejsze z jego utworów są dzisiaj równie zabawne i równie aktualne, jak w momencie kiedy powstały. Kto wie? Może osiągną naprawdę nieśmiertelność nietylko akademicką. G.

MATYLDA SERAO

Z LICZNEGO grona powieściopisarek włoskich ubyła niedawno najstarsza i najsławniejsza, Matylda Serao. Urodzona w 1856 roku w Neapolu, z ojca dziennikarza (redaktora wychodzących przed laty w Neapolu pism: „Il Pungolo", „Giornale di Napoli" i t. p.), w bardzo młodym wieku zaczęła próbować sił swoich na polu literatury, i prędko zdobyła uznanie oraz sławę wśród własnego społeczeństwa, a następnie i u obcych. Zmarłą autorkę takich powieści jak: *„All'erta Sentinella"*, *„La Conquista di Roma"*, *„Addio, amore"*, *„Il paese di Cuccagna"* i t. p.—tłumaczono przed laty na

wszystkie języki świata cywilizowanego. W Polsce czytano ją oddawna i znajdowała zawsze chętnych wydawców.

Poruszała w utworach swoich najrozmaitsze tematy, podsuwane jej wyobraźni najczęściej przez wypadki dnia bieżącego, przez wrażenia odbierane bezpośrednio od życia otaczającego. W talencie Matyldy Serao — żywym, gorącym i rozlewnym, o temperamencie prawdziwie neapolitańskim — tkwił, jakby odziedziczony, pierwiastek dziennikarski, który nadawał ton całej jej twórczości. W jednym z najwcześniejszych utworów swoich „*Dal Vero*", M. Serao tak powiada: „tematy autorskie powstają zewsząd, wchodzą oknem, drzwiami, spadają z nieba, rodzą się na bruku"...

Mówiła tak z własnego doświadczenia, brała treść twórczości swojej zewsząd, nie namyślając się długo nad jakością materjału, który ożywiała lotną wyobraźnią, uszlachetniała niekiedy poezją, czasami głębszą psychologją, nadewszystko jednak wprawiała w ruch niesłabnącą werwą barwnego słowa.

Po mistrzowsku zwłaszcza odtwarzała środowisko rodzime, życie neapolitańskie, obyczaje i namiętności różnych sfer własnego społeczeństwa. (Najwybitniejszą pod tym względem jest głośna powieść „*Il paese di Cuccagna*" i parę innych)".

Ruchliwa wyobraźnia, żywy temperament były powodem częstych zmian, jakie dają się spostrzegać w twórczości Matyldy Serao. Wyczuwała usposobienia czytającej publiczności i starała się im zadośćuczynić, w czem dopomagała jej wrażliwość dziennikarska.

Z prac niepowieściowych zmarłej autorki niemałym rozgłosem cieszyły się w świecie jej wrażenia z podróży do Ziemi Świętej p. t. „*Nelle paese di Gesù*". Mężem zmarłej był znakomity publicysta neapolitański, Scarfoglio, redaktor wpływowego ongi pisma „*Il Mattino*".

W. J.

NOWE KSIĄŻKI

Kolbuszewski Stanisław dr. Pieśń o Aldony losach. Próba rekonstrukcji pierwszego pomysłu „Konrada Wallenroda". Poznań, 1927. K. Rzepecki. Str. 30.

Dunin Miecz. i Mazurkiewicz Stefan. Descensus Averni. Sonety patetyczne. Warsz. 1927.

Skrudlik Miecz. dr. Sekty żydujące w Polsce. Warszawa, (1927). „Szczerbiec". Str. 64.

Dzierżbicki-Starża Jan. Legendy Buddyjskie. Bibl. dzieł wyb.

Przegląd Współczesny, sierpień.

Rolnik Ekonomista. Warsz. Sierpień.

Sprawy narodowościowe. Warsz., maj-czerwiec.

Revue des etudes Slaves. Paris. T. VI fasc. 3—4.

W Bibljotece dzieł wyborowych wyszły:

Gustawa Daniłowskiego. Pamiątka. Nowela.

Ant. Ossendowskiego. Cień ponurego wschodu.

W. Melcer-Rutkowskiej. Nad srebrną rzeką (Argentyna).

Adama Szelągowskiego. Rok 1792. Upadek tronu.

Jana Czempińskiego. Zoe. Opowieść.

Witold Tarcza. (Karolina Garliczowa). Myśli współczesne. Turek. 1927. Str. 167.

Miłosz Gembarzewski. Mussolini. Poemat. Warszawa 1927. Pol. Współ. Wydaw. Str. 5.

Bron. Koskowski. Z okazji utworzenia Wydziału farmaceutycznego w Uniw. Warsz. Odbitka „Rocznik Farmacji", 7.IV 1926. Str. 12.

Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie dała znać o sobie w szeregu bardzo starannych i cennych publikacyj, wydanych jednocześnie z datą 1927 r. Mamy naprzód Pamiętnik 20-cia Szkoły, 1906 — 1926 (str. 120), wydano też osobno „Ustawę i Statut" szkoły, osobno „Sprawozdanie z budowy gmachu doświadczalnego szkoły w opracowaniu Jana Witkiewicza-Koszczyca (z ilustr.), wreszcie swój „Rocznik naukowy (III) za r. 1927 pod redakcją Kaz. Kacperskiego, Kon. Krzeczkowskiego i Bol. Miklaszewskiego. Piękny tom z 267 poświęcony jest trzem pracom: M. Bonieckiego (Nasiennictwo i handel nasionnmi w Polsce), St. Raubala (Granica polit. polsko-czeska), Jana Wiśniewskiego (Indeksy cen hurtowych w Król. Pol. 1894 — 1903).

Ks. Feliks Mieszkis (Czerski). Wojna. Mielni nad Bugiem (1927). Druk w Łomży. Str. 100. Cena zł. 2.60.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu, nr. 5, (kw. I 1927).

Kwartalnik Instytutu naukowego do badań emigracji i kolonizacji. Warsz., kwiecień — czerwiec 1927, nr. 2. Redaktor Gustaw Załęcki. Nakładem Pol. Tow. Emigracyjnego.

Przegląd Polityczny. Warsz. czerwiec 1927.

La Pologne. Paris, nr. 15—16 z 1 sierpnia 1927.

Educazione Fascista. Roma 1927, nr. 5.

NA MARGINESIE

Prezes Rady ministrów Rzpltej, minister spraw wojskowych marszałek Józef Piłsudski w mowie swojej, wygłoszonej w Kaliszu 7 sierpnia r. b.. a rozesłanej urzędownie do prasy, powiedział:

...„Wytworzyłem całe mnóstwo pięknych słówek, które po mojej śmierci będą wydane, które naród polski stawiają w rzędzie idjotów".

Wielbiciele marszałka Piłsudskiego już dzisiaj są w kłopocie, co z tą opinją uczynić, („Głos prawdy' wykreślił ją z tekstu mowy), a w owem wydaniu pośmiertnem, o którem wyżej zamieszczając w przedmowie takie zdanie, nie mogliby jednocześnie utrzymywać, że mówca był pierwszą osobą w narodzie i że przemawiał reprezentatywnie. Byłaby te obelga osobista.

*

Szczególne piętno aktualności noszą na sobie rewelacje o sekcie Marjawitów, ogłaszane w „Gazecie Warsz. Por." Żyjemy bowiem wogóle w okresie sekt. Tak samo jak wyradza się chwilami religja w łonie kościoła, wytwarzając herezję i dążąc do opanowania kościoła, tak samo rodzą się w czasie sprzyjającym potworki polityczne, które akurat taki właśnie stosunek przybierają do prawa, jak tam sekta do religji; i tu i tam moralność bywa odwrócona. Byłoby ciekawe studjum na ten temat. Ta sama wszędzie mętność pojęć i słów, ten sam przerost pierwiastka osobistego. Powątpiewać można, czy akcja przeciw Marjawitom w takich czasach wyda owoce, zbyt wielu mają bowiem opiekunów. Ot, już „Robotnik" wystąpił w ich obronie. Prasa sanacyjna jest nieco skrępowana niedawnem zaszachowaniem opinji koronacją obrazu Ostrobramskiego, ale dobrze pamięta sukurs Marjawitów z przed roku. Są to sekty pokrewne.

*

W „Wiadomościach Literackich (nr. 32) p. Jan Nepomucen Miller temi słowy ogłasza swoje wyznanie wiary w artykule wstępnym p. t. „Co to jest uniwersalizm?

„Różnice między uniwersalistyczną a romantyczną postawą wobec rzeczywistości — pisze — „polegałyby na tem, że romantyk te wszystkie pojęcia ogólne (jak naród, Bóg, dusza) ujmuje absolutnie, oddaje im kult boski, my zaś pozwalamy je wprząc do działania, przymierzyć do doświadczenia. Są one dla nas hipotezami roboczemi, które poganiamy po wybojach rzeczywistości, jak dychawiczne szkapy, nie żałując bicza, skąpiąc natomiast obroku. Gdy zużyją swe siły robocze, zaczną kuleć postawać, oddajemy czyścicielowi, by je obłupił ze skóry i sprzedał na buty.".

W taki sposób, dosłownie, ośmiela się p. Miller pisać o Bogu i Narodzie. A dla tego gatunku „myślicieli" wciąż jeszcze... żałują u nas bicza, nie skąpiąc natomiast obroku!

*

„Czas", piórem p. Edwarda Paszkowskiego, zaprzecza kategorycznie, aby w czasie wojny istniało porozumienie pewnego odłamu konserwatystów z formacjami liberalnemi i radykalnemi, opowiadającemi się za orjentacją „centralną". Pan Paszkowski cytuje gęsto swoje puste słowa z prz d lat dziesięciu, ale ostatecznie zapomniał o tem, że przed dwoma laty w tymże „Czasie" wynosił „ponad wszelką wątpliwość" politykę wojenną Lednickiego. Skądże się to wzięło? Przecież sam jest „konserwatystą z kresów", a Lednicki — kadetem, szermierzem haseł „wolności powszechnej", który wojsko polskie po stronie koalicji niszczył razem z komunistą Leszczyńskim. Historję interesują fakty, a nie to, co p. P. sobie pisał. W „Czasie" może się autor poinformować, że wzięło się to z tej samej „agentury", z której w r. 1911 powstał blok Bobrzyńskiego przeciwko dążeniom narodowym w Polsce. Do tego bloku należeli tak samo i Bobrzyńscy i żydki i Daszyńscy, jak potem w czasie wojny. Tylko „agentura" może zniewalać słabych duchem do przekomarzania się z polityką narodu dla rzekomych korzyści „wolności powszechnej".

Sprostowanie. W zeszycie poprzednim (17) „Myśli Narodowej" w listach Żeromskiego, na str. 311 szpalta 2, wiersz 1 powinno być Desenzano (nie Descuzano).

TREŚĆ: Tandetna ideologja *J. Rembielińskiego*. — Wódz *Wł. Jabłonowskiego*. — Szlacheckie pojęcie władzy *B. Suchodolskiego*. — O zbliżeniu nauki do życia *J. B. Richtera*. — Paul Cazin *Viatora*. — Królowy most *J. Kaweckiego*. — Liberum veto *Al. Świętochowskiego*. — Głosy: Sprawiedliwość w ręce Żydów *J. Zdzitowieckiego*; O wyrównanie terenu *Z. W.*; Obowiązek wobec języka *Fr. Brzezińskiego* — Przegląd polityczny *J. R.* — Nauka i literatura (Dwa oblicza poetyckie *T. Newlina-Wagnera*, Książka francuska o Polsce *S. S.* i in.)—Zmarli: Robert de Flers *G.*; Matylda Serao *W. J.*—Nowe książki.—Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM